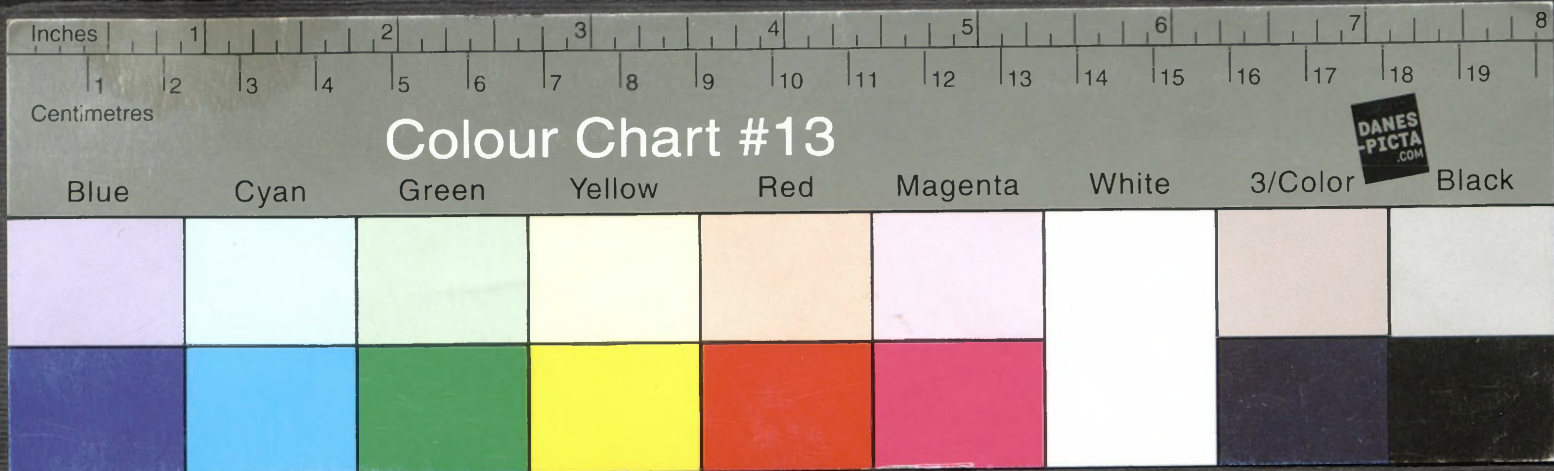




W A L K A W P O Ż O D Z E



KPT. „JERZY“



W A L K A W P O Ż O D Z E



KPT. „JERZY“

Kpt „Jerzy”

W A L K A
W
P O Ż O D Z E

PARYŻ 1946

92 : 93(438)13

7200/1



PRZEDMOWA

Wola, Starówka, Czerniaków — to trzy kolejne etapy na szlaku powstańczym, którym szły harcerskie bataliony „Zośka” i „Parasol”, będące trzonem zgrupowania „Radosław”.

Dla tych, którzy przeżyli powstanie, etapy te łączą się z obrazem straszliwej, nadludzkiej niemal walki, bez chwili wytchnienia czy spoczynku zawsze z przeważającymi siłami wroga, częstokroć w osamotnieniu.

„W toku dwumiesięcznych walk nie byliście ani razu rozbici odchodziliście zawsze na rozkaz po wyczerpaniu ostatnich naboji” — mówi pułkownik Radosław w swym ostatnim rozkazie i nigdzie może prawda nie znajduje tak pełnego wyrazu w słowach tak prostych, jak te, którymi nas żegna dowódca Kedywu (Kierownictwo Dywersji Kom. Gł.) sam wielokroć ranny i wyczerpany, stojący wobec smutnej konieczności rozstania się z pozostałą przy życiu garstką tych, którzy w okresie konspiracji byli ramieniem Polski Karzącej, a w powstaniu dopeł-

nili wiernie swej służby Ojczyźnie, ciałami swymi zaścielać gęsto reduty i barykady walczącej Warszawy.

Trzy opowiadania, składające się na całość tego skromnego zbioru, to małe fragmenty wyjęte z bojowej historii harcerek Grup Szturmowych (G. S.-ów).

Nie są one historią, lecz osobistym przeżyciem. Są prawdziwe, aczkolwiek pisane całkowicie subiektywnie, z tej perspektywy, z jakiej może patrzeć d-ca batalionu biorący sam udział w walce, a więc widzący krąg ograniczony, mimo iż zna całość zadania, czy operacji.

Obraz rzeczywistości byłby zatem niepełny, gdyby pominąć milczeniem osoby tych, których sylwetki wyrły nam się w pamięci, a których bohaterstwu i wspinałej postawie należy się hołd najwyższy.

Możnaby ogólnie powiedzieć, że z każdym etapem naszych walk powstańczych zespoliła się postać jednego z naszych przyjaciół i dziś, gdy mówię Wola — to widzę hm. mjr. Jana, tego wspinałego człowieka, który łączył w sobie w dziwnej harmonii dojrzały umysł dowódcy z niefrasobliwością dziecka, najwyższe koleżeństwo i dbałość o żołnierza z zupełną pogardą śmierci i brakiem dbałości o bezpieczeństwo własne. On zdobył pierwszy czołg na Woli, On szedł z uśmiechem do każdej akcji, a z każdego słowa jego, z każdego uśmiechu promieniała młodzieńcza wiara w słuszność sprawy i świadomość zwycięstwa. Obok niego w okresie „Woli“ postawić

należy szereg naszych kolegów, a przede wszystkim Andrzeja Blondyna, d-cę kompanii „Maciek“, który wykonał wspaniale nasze pierwsze zadanie powstańcze, opanowanie koszar „SS“ w tak zwanej „Twierdzy“ i tym samym dał podwaliny pod całą późniejszą atmosferę walki. Władka Giewonta d-cę komp. „Giewont“, śmiałego i rzutkiego dowódcę i organizatora. Andrzeja Długiego, który będąc wspaniałym żołnierzem, nie przestawał być ani na chwilę wychowawcą. Zosi „600“, zwanej też Zosią „Dużą“, która łączyła w osobie cechy samarytańskiej miłości i ciepła z niepospolitą odwagą osobistą. „Kończana“ — d-cy plutonu „Alek“, odważnego i rzutkiego chłopaka, szorstkiego w obejściu lecz o złotym sercu „Kubę“ d-cę plutonu „Felek“ i wielu wielu innych.

Gdy myślę „Starówka“, to z gruzów i zgłiszcz, z huku rozrywających się bomb i pożogi uśmiecha się do mnie twarz Piotra zastępcy Naczelnika Szarych Szeregów, i uświadamiam sobie jak smakuje przyjaźń takiego jak On człowieka. Piotr, a raczej uosobienie przyjaźni, pogodny i zawsze uśmiechnięty Piotr, który w chwilach najbardziej szarpiącego zwątpienia potrafił znaleźć krzepiące słowa otuchy. Widziałem nieraz, jak zmagał się z sobą samym, gdy widział topniejące szeregi chłopców, z którymi obaj zżyliśmy się najbardziej, ale zawsze umiał wykrzesać z siebie to ziarno nadziei, które stawało się siejąbą w sercach wkopanych w ziemię, śmiertelnie nieraz wyczerpanych ludzi.

Skąd brałeś siły na to, Piotrze, aby — sam szczupły i wysuszony z oczami jarzącymi gorączką,

czy zapalem — przebiegać z okopu do okopu, z pozycji na pozycję, wszędzie krzepić, wszędzie siać radość z tej najświętszej ze służb — służby krwi oddawanej Ojczyźnie? Widziałem pogodne i zatroskane twarze chłopców goniących Cię uśmiechem, gdy przemykałeś się pod gradem kul, by dotrzeć tam, gdzie najciężej, gdzie myśl zakrzepła w stężałym mózgu wyraża tylko śmierć, tylko zagładę, a Ty niosłeś tam uśmiech życia i radość z poświęcenia. Byłeś czynnym wyrazem miłości bliźniego i „ukochania Sprawy“, za którą dałeś życie, Piotrze. Odszedłeś, jakgdyby w poczuciu obowiązku towarzyszenia Tym, którym wskazywaliśmy tę najcięższą ale i najśłodszą ze służb.

Obok Piotra w okresie „Starówki“ wyrasta postać inna, znany nam już z okresu konspiracji wspomniały organizator i doskonały dowódca „Andrzej Morro“.

Młoda — dziecinna niemal twarz. Jasne oczy i zdecydowany profil — wszystko składa się na obraz tego, który wycisnął potężne piętno na całości Batalionu, człowieka, o którym wyraził się pułkownik Radosław, „iż był najbardziej utalentowanym dowódcą kompanii, jakiego w swej karierze wojskowej spotkał“.

Z Tobą Andrzej związałem się bardziej, niż z kimkolwiek innym. Poznałem Cię jeszcze jako drużynowego Andrzeja Sad 400, albo Andrzeja — Filozofa, jak niektórzy Cię nazywali, sądząc, iż myśl jest balastem zbędnym dla żołnierza.

Zawsze widziałem w Tobie dowódcę i nigdy nie wahałem się, gdy chodziło o powierzenie Tobie jakiegoś ważkiego zadania. Precyzyjny niezwykle w pracy, przy olbrzymiej umiejętności do analizy myślowej, potrafił Andrzej łączyć w sobie młodzieńczą chęć czynu z dojrzałą kontrolą działania. Rozsądny i rzeczowy w ocenie sytuacji i analizie elementów walki, przewidywał wszystko, widział wszelkie mogące wyniknąć trudności. W działaniu bezkompromisowy i pewny, o decyzji tak szybkiej i wierze tak mocnej, że aż sugestywnie działał na otoczenie pogodną pewnością siebie dojrzałego do czynu dowódcy.

Widzę Cię, Andrzej, zawsze troszczącego się o kolegów-żołnierzy, o ich odpoczynek i wyżywienie, pamiętającego o każdym rannym. Twa pogoda i wiara była zaraźliwa. Odwaga Twoja zawsze pociągała innych. Pamiętam Twą twarz skupioną, gdy gotowi do skoku czekamy na moment, kiedy można będzie ruszyć do natarcia. Widzę Cię jeszcze, jak na czele kompanii biegniesz ruinami domów, zawsze pierwszy, zawsze zdecydowany.

A potem spotkanie na Senatorskiej, w bramie gdzie obok rannych — leżą zabici, obok żywych — trupy. Głowa Twa na kolanach Lidki. Twarz skrzywiona bólem, lecz oczy przytomne. I znów słowa Twe, to nie troska o siebie i swoją ranę, lecz troska o ludzi.

— Ilu? Kto zabity? Jacy ranni? — Cały czas walczysz z bólem i uciekającą świadomością, a bie-

rzesz czynny udział w naradzie, której wynikiem jest udane natarcie na Ogród Saski.

Co było tym cementem, który łączył nas wszystkich? Co było tą więźnią, która powodowała, że nawet ranni ciągnęli za oddziałem?

Cementem tym było bezsprzecznie najwyższe koleżeństwo, którego żywym wyrazem byliście Wy wszyscy, polegli, dalecy, a tak bliscy Przyjaciele: Janie, Piotrze, Andrzeju.

Czy łatwo zrozumieć, jak wielkim zobowiązaniem jest taka postawa Przyjaciół — Przyjaciół, którzy odeszli?

Czy łatwo jest zrozumieć, że są decyzje, których powzięcie jest proste, gdy się ma pełną świadomość bliskości tych, z którymi człowiek związał się najsilniej?

Dowódca oddziału na żołnierzy, na swoich podkomendnych, ale ich postawa i czyny, wszystko to, co stwarza atmosferę, działa na dowódcę! Świadczenia są wzajemne.

Trudno jest powiedzieć mi, jak ciężko jest utrzymać pogodną twarz, gdy śmierć zabiera z otoczenia najbliższych przyjaciół, jak bardzo trudno jest żegnać się z tymi, których ukochało się najbardziej.

Miałem w Powstaniu chwile najwyższej radości wynikającej z poczucia siły dającej Zwycięstwo i miałem chwile smutnej świadomości, że trud nasz jest bezowocny a straty daremne.

Pamiętam dzień taki na Starówce, gdy pod wpływem strat sięgających w tym dniu 20 procent

pisalem do Witolda (Naczelnika Szarych Szeregów), że motto z „Testamentu“ Słowackiego: „A kiedy trzeba na śmierć — idą pokolei, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.....“ zaciążyło na batalionie przekleństwem, odchodzą bowiem najlepsi, ci wspinali chłopcy, którym mówiliśmy ciągle, że walka, która stała się ich udziałem jest jedynie fragmentem pięknym, ale i nienormalnym ich życia, a celem naszym zasadniczym jest nie śmierć dla Polski, lecz życie dla Niej i do tego przyszłego życia trzeba się przede wszystkim przygotować.

Ginęli młodzi studenci politechniki i uniwersytetu konspiracyjnego — nadzieja Przyszłej Polski, ginęli zwyczajnie — na barykadzie i w domach, miazdzeni ogniem Stukasów i dział niemieckich, siekani ogniem karabinów maszynowych i granatników, — i ginęli z uśmiechem. Ani słowa wyrzutu, lecz ciągle jakaś radość promienna płynąca z poczucia dobrze spełnionego obowiązku, obowiązku wytrwania.

Czerniaków, to ukoronowanie tej atmosfery braterstwa i koleżeństwa, która panowała w batalionie. Połączone znów oddziały „Zośka“ i „Parasol“ walczą razem, ramię przy ramieniu, ustępując piędź po piędzi ziemi, której utrzymanie wobec przeważających sił wroga jest wręcz niemożliwe.

I w tą atmosferę wnika czynnik nowy — bratnia pomoc z drugiego brzegu.

I jakkolwiek zawód, jaki nas spotkał, dyktował nieraz słowa gorzkie, to obiektywnie przyznać muszę, że żołnierze polscy, młodzi chłopcy, którzy przy-

szli nam z pomocą, przyłgnęli do nas sercem tak jak i my do nich w pełnym poczuciu braterstwa.

Byłoby niesprawiedliwe, gdybym nie złożył tym młodym i niedoświadczonym w walkach miejskich żołnierzom najwyższego hołdu za ich braterską gotowość pomocy, jaką okazywali.

GINĘLI z nami razem, a krew ich mieszała się z krwią naszych chłopców, jakby jeszcze raz dowodząc, że braterstwo nasze jest silniejsze niż wszystkie orientacje, a więzy krwi nierozzerwalne.

Z największym uznaniem wspominam ppor. Dobrowolskiego i cały zwiad dywizyjny, który od pierwszej chwili lądowania, aż do ostatniego dnia dzielił swój los z losem naszych chłopców, a atmosfera koleżeństwa jaka wśród nas panowała wryła się w pamięć naszą mocnym obrazem.

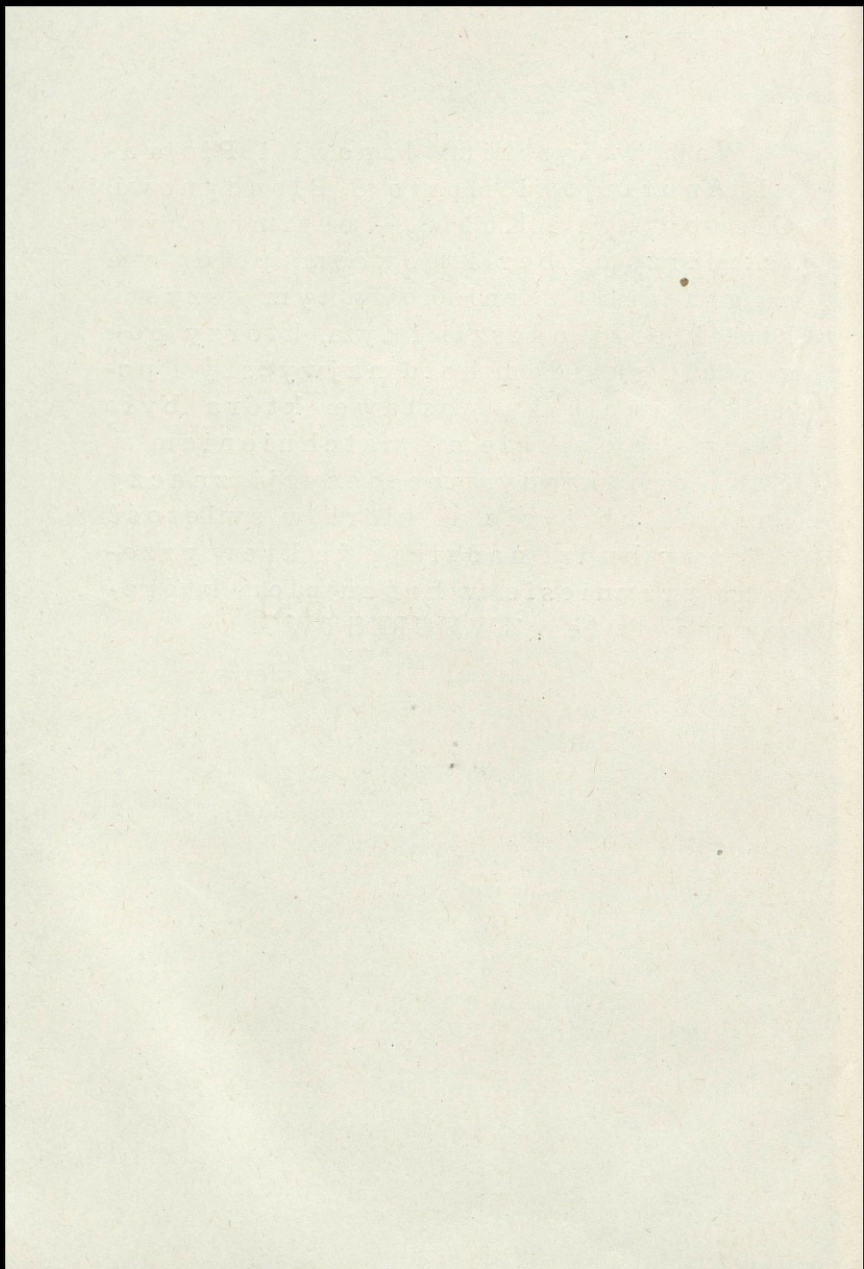
Tak, jak Wy w pełnym poczuciu braterstwa, dążyliście ku nam z pomocą, tak my trwaliśmy na ostatniej, na zagładę skazanej reducie Czerniakowa, żeby Wam zawodu nie sprawić.

Wyróżnił się w tych dniach ostatnich Witold, którego kilkakrotnie w swym opowiadaniu wspominam, a który w ciągu Powstania przekształcił się z młodego, pełnego zapału chłopca, w mocnego i zdecydowanego dowódcę.

Wyróżnił się Słoń, ostatni, bo w ostatniej niemal godzinie mianowany d-cą komp. Rudy, a raczej jej niedobitków, który swą żołnierską postawą do końca budził podziw najwyższy, wyróżniły się dziewczęta, które w atmosferę brutalnej walki potrafiły wnieść promyk ciepła i samarytańskiej miłości.

Wam wszystkim: Janowi i Piotrowi, Andrzejowi Morro i Blondynowi, Giewontowi i Kubie — bezimiennym żołnierzom, „berlingowcom“ poległym na gruzach Czerniakowa, tym wszystkim, którzy odeszli i tym, którzy pozostali, składam hołd najwyższy i podziękowanie za postawę, która była dla mnie oparciem i natchnieniem w chwilach, kiedy moc decyzji znaczy śmierć lub życie, a wiara w świętość Sprawy budzi nadzieję, że krew przelana przyniesie w końcu plon, któremu na imię: ZWYCIĘSTWO.

Kpt. Jerzy



ZDOBYCIE GĘSIÓWKI

WOLFF-GESAMT



PIERWSZE dni powstania przyniosły mojemu batalionowi wiele zdobyczy i tryumfów, wiele chwil radosnych i wielkich nadziei, ale też i mnóstwo strat najdotkliwszych. Wszystkie zamierzone cele zostały osiągnięte, ale każdy kosztował wiele krwi i śmierć najbliższych przyjaciół.

Stan posiadania nasz przedstawiał się imponująco. Cały niemal batalion był uzbrojony, wszyscy chłopcy umundurowani jednolicie w SS-mańskie „panterki“ i hełmy z pokrowcami, jedynie orły białe na froncie hełmów, stylizowany znak SS-ów na boku i opaska biało-czerwona — nadawały całości specyficzny, powstańczy charakter.

Uzbrojenie nasze również wzbudzało zazdrość powszechną. Weszliśmy do akcji jako najlepiej uzbrojony oddział powstania. Już konspiracyjna walka przyniosła nam poważne zdobycze, ale były one



niczem wobec tej ilości uzbrojenia, jaką dostarczali nam Niemcy systematycznie bici przez nas od pierwszego dnia powstania. Cierpieliśmy jedynie na brak amunicji, a parokrotnie zapowiadane lecz nieudane zrzuty nie przyniosły nam pod tym względem żadnej zmiany. Mimo to humory były świetne i nastrój zwycięski.

Duży teren, jaki obejmowaliśmy, pozwalał nam na swobodę ruchów, a samochody i motocykle z liliami na maskach i przy bokach podkreślały „potęgę zmotoryzowanej armji.“

Ukoronowaniem wszystkiego był nasz pluton pancerny, odcinający się od reszty czarnymi mundurami niemieckich „pancerniaków“, pluton rzeczywisty — nie efemeryda, wyposażony w dopiero co zdabyte i z nie małym trudem i nakładem pracy uruchomione „Pantery“. Ta jedyna artyleria powstania miała już za sobą piękne wyczyny i przyniosła oddziałowi pierwsze w powstaniu odznaczenie. Łoskot motorów naszych „Panter“, obnoszących dumnie swe harcurskie lilje, wywoływał w nas wszystkich uczucie dumy i mocy zarazem, a ogłuszający huk dział, niosących wrogowi zniszczenie, był muzyką dla naszych uszu.

I teraz też wre praca przy „Panterach“. Jedną z nich leczy z ran świeżo zadanych nasz wspaniały mechanik, Łuniewski, wokół drugiej uwijają się żwawo Zygmunt, Wacek i kilku innych pancerników, przygotowując je do nowego zadania.

Tym nowym zadaniem jest uderzenie na teren ghetta i t. zw. „Gęsiówkę“. to jest duży koncentra-

cyjny obóz pracy, znajdujący się między ulicami Gęsią, Okopową, Niską i Bonifraterską. Liczne mury wieże wartownicze, t. zw. „bociany“, najeżone karabinami maszynowymi, bunkry i wysoki mur, zabezpieczony drutem kolczastym oraz linią wysokiego napięcia odgradzają dostęp do kaźni tysięcy Polaków i Żydów, zmuszanych do pracy niewolniczej w najtrudniejszych warunkach.

Od komendanta politycznego „Gęsiówki“, którego dostaliśmy w ręce w pierwszym dniu powstania, wiemy, że w obozie tym pozostają obecnie tylko Żydzi, niedobitki żydowskiego powstania w ghetcie i różnego rodzaju specjaliści, ściągnięci z różnych punktów Europy.

Uwolnienie ich i otwarcie drogi na Stare Miasto — oto główne zadanie dzisiejszego natarcia.

Najpierw sami z Piotrusiem i Janem, robimy rozpoznanie terenu, wyznaczając miejsca poszczególnym drużynom i układając plan, w którym „Pantera“ nasza ma odegrać pierwszorzędną rolę. W szkole zwanej „Twierdzą“ robimy odprawę dowódców plutonów, które mają wziąć udział w natarciu, przy czym zasadnicze zadanie wykonuje kompania „Rudy“ i częściowo „Giewont“. Reszta zaś obsadza teren cmentarza żydowskiego, ul. Spokojną i ubezpiecza nas od Powązek, a równocześnie daje 2-u plutonowi odwód.

Zadanie jest dość skomplikowane. Już obsadzenie stanowisk wokół Gęsiówki, w ruinach ghetta, nastrocza poważne trudności, a pomoc „Pantery“, wobec niewielkiej ilości pocisków, ograniczyć się musi

do działania na psychikę wroga. Jedynie oddanie pojedynczych strzałów do każdej wieżyczki i bunkra ułatwić ma wtargnięcia wyznaczonych do tego zadania chłopców do wnętrza bocianów i, co za tym idzie, na teren samej Gęsiówki. Bardzo starannie wyznaczamy trasę posuwania się czołgu, ustalamy kolejność, w jakiej wieżyczki mają być ostrzelane, określamy czas natarcia dla poszczególnych sekcji i sposób wzajemnego ubezpieczenia się. Czoło natarcia stanowi czołg, który burzy dwie barykady na drodze do wielkiej żelaznej bramy, zamykającej obóz. Oddaje kolejno strzały do dwu narożnych i dwu środkowych wieżyczek, a następnie, wykonawszy pół obrotu, ma rozbić uderzeniem bramę, poczem stojąc w niej ma razić ogniem następne wieżyczki i bunkry według kolejności z góry ustalonej.

Lewym skrzydłem dowodzić ma Kuba, prawym Giewont, ja z Piotrem będziemy na wysokości „Pantery“, by mieć jak najlepszy wgląd na całość terenu. Padają pytania i odpowiedzi. Kilka szczegółów wywołuje gorętszą dyskusję, wreszcie regulujemy zegarki i „do oddziałów“. Pogoda jest piękna, słońce oblewa zgliszczą i zwaliska gruzów jaskrawym blaskiem, cienie „bocianów“ kładą się na ziemię wyraźnymi plamami i ghetto świeci czerwienią rozbitych murów, jakby chciało zrobić konkurencję krwawej czerwieni pożarów, szerokim łukiem okalających Wołę. Kłęby gęstych czarnych dymów przewalają się nad horyzontem i raz po raz przesłaniają słońce rudą plamą. Do uszu naszych dobiega echo dalekich, to znów bliższych, detonacji. Warkot motorów prze-

latujących Stukasów przyciąga nasze spojrzenia ku zachodowi, skąd płynie wzmagający się szybko odgłos silników, by po chwili roztopić się w huku bomb, lecących na domy Woli. Słupy ogni i dymu rozrywają czarny od dymów i czerwony od płomieni pierścień horyzontu, a ziemia drży, przynosząc odgłosy silnych wybuchów. Wskazówki zegarka przesuwają się dziwnie powoli, a uczucie oczekiwania napina nerwy do ostatnich granic. Aż wreszcie — pusta pozornie przestrzeń wielkiego rumowiska, jakie stanowi teren dawnego ghetta ożywia się w jednej chwili. Ze stanowiska, na którym stojemy z Piotrem i Andrzejem Morro, widać przesunięcia, jakie poszczególne oddziały wykonują, dążąc na podstawy wyjściowe do natarcia. Oto ktoś przebiega pospiesznie, wykorzystując przesłonę muru, ktoś inny pełznie powoli co chwila zapadając w rozpadliny. Podnoszę do oczu lornetkę, by stwierdzić, że „bociany“ wartownicze nie zdradzają żadnym ruchem, by to, co się dzieje na rumowisku, zwróciło ich uwagę. Muszę przyznać, że nam, którzy wiemy, co się dzieje na przedpolu, poza tym patrzymy z „za kulis“, na ruch, jaki się odbywa w ruinach, wydaje się on zanadto widoczny, mimo iż rudo-plamiste „panterki“, w jakie są chłopcy ubrani, znakomicie zlewają się z czerwonym tłem rumowiska, na którym akcja się odbywa. Dzielę się swoimi uwagami na ten temat z Piotrem i Janem, który nie wytrzymał i przyszedł wraz z adjutantem, by wziąć udział w zamierzonej akcji. Panuje całkowita cisza. Wieże milczą, jedynie dalekie echo gdzieś z cmentarza Powązkowskiego przynosi odgłos chaoty-

cznej strzelaniny, który dowodzi, że na obwodzie naszych pozycji rozgrywa się normalna już dla nas rozmowa broni maszynowej. Łatwo odróżniamy nasze kaemy od kaemów przeciwnika, bo choć jedna i druga strona używa tej samej broni, to serie przeciwnika są długie i dowodzą bogactwa amunicji, podczas gdy nasze są jak szczeknięcia złego psa — krótkie i zjadliwe.

Spoglądam na zegarek. Zbliża się godzina 10-a, a równocześnie spokój, panujący od pewnej chwili w ruinach zostaje zakłócony warkotem motoru naszej „Pantery“, która powoli i majestatycznie rusza z przed „Twierdzy“, by za chwilę ukazać się w szeroko otwartej bramie ghetta. Znów spoglądam na wieże i dopiero teraz dostrzegam ruch w ich wnętrzu. Równocześnie w pobliżu zaszczekał nasz karabin maszynowy, i odpowiedziały mu długie serje z kilku wież naraz. Wielka i potężna barykada, która oddziela nasze pozycje na Gęsiej od ziemi niczyjej, rozciągającej się między murem Gęsiówki a nami, okazała się bardzo łatwa dla naszej „Pantery“, która przetoczyła się po niej, jak po śmietniku odpadków żelaznych i jedynie do łoskotu motorów i jazgotu karabinów maszynowych dołączył się hałas miażdżonego muru, trzask łamanych desek i szyn żelaznych. Pantera jest już na wysokości drugiej barykady, którą bierze równie łatwo, jak i poprzednią. Huk karabinów maszynowych milknie na chwilę, jakby Niemcy, zdetonowani pojawieniem się niespodziewanego prawdopodobnie przeciwnika zastanawiali

się, co dalej robić. Przerwa to krótka jednak i już nasz czołg znajduje się we wściekłym ogniu kamarów, które lilje harcurskie na bokach przekreślają smagnięciami śmiercionośnych bryzgów.

Przebiegamy teraz z Piotrem i Janem pustą przestrzeń, dzielącą nas od długiego budynku stolarni, do której wpadamy, by pod osłoną muru posunąć się jak najbliżej muru Gęsiówki. Biegnę długą halą maszyn, w niskim skłonie omijając okna. Przeciągłe gwizdy pocisków i wściekły jazgot rykoszetów, odbitych od maszyn, wypełniają halę innym wprowadzie od stuku motorów hałasem, a mimo to ma się wrażenie, jakby spokojna, nieczynna fabryka ruszyła nagle, by rozpocząć dziwną jakąś produkcję. Piotr zwraca mi krzykiem uwagę, bym zanadto głowy nie wystawiał i pochyleni biegniemy dalej, by za chwilę dopaść szczytowej ściany budynku, której okna wychodzą naprzeciw narożnej Gęsiówki. Starannie wykorzystując przesłonę muru spoglądamy na „Pantere”, która w tym momencie właśnie oddaje pierwszy strzał. Huk działa łączy się niemal z okrzykiem „hurra”, z jakim chłopcy Kuby dopadają pierwszej wieży. Drugi strzał. Nasza wieża otacza się kłębem pyłu i dymu. Nie czekając długo, wyskakujemy wraz z Piotrem i biegniemy do otwartych szeroko drzwi garażu, który przylega do wieży. Granat rzucony do środka zabezpiecza nas przed ewentualną niespodzianką i już jesteśmy wewnątrz wraz z kilkoma chłopcami, którzy przeskoczyli wraz z nami. „Pantera” powoli odwraca swą wieżyczkę i po chwili nowy huk i znów huk wstrząsają powietrzem, a o-

krzyki, trzask granatów i serje peemów dowodzą, że inne drużyny wykonują swe zadania. Ruchem ręki i krzykiem staram się wskazać naszym czołgi-
stom żelazną bramę, na której sforsowanie przyszła
kolej i choć wątpię, czy krzyk mój był dla nich sły-
szalny, to jednak czołg rusza, by za chwilę zdruzgo-
tać swym ciężarem potężną zda się przeszkodę, któ-
ra drze się jak papier i wyskakuje z zawias, otwie-
rając drogę do serca obozu.

W tym samym czasie, kiedy się to odbywa, chłop-
cy towarzyszący mi usiłują po drzwiach garażu do-
stać się na dach, skąd oknem wtargnąć można do
wieży. Piotr z kilkoma ludźmi trzymają uchylone
drzwi garażu, ja po zawiasach zamku i szprosach
wdzieram się na dach, by przywrzeć na nim plac-
kiem, obok mnie zjawia się Krzysztof i teraz razem
pełniemy w kierunku okna wieży. w którym prze-
wieszony przez karabin maszynowy zwisa martwy,
czy też ranny Niemiec. Wieża rozbrzmiewa jakimś
stukotem, który milknie po wrzuceniu do wnętrza
granatu. Wskakujemy przez okno po karku i plec-
cach leżącego Niemca. W kącie wieży na podłodze
widzimy drugiego w agonii. Podczas gdy Krzysztof
nachyla się nad nim, by zabrać „na wszelki wypa-
dek“ broń, ja z za węgła muru usiłuję dostrzec przez
lornetkę, co dzieje się na innych wieżach.

Jedna skrajna płonie, na innych poznaję na-
szych chłopców. „Pantera“ wolno i systematycznie
przenosi ogień swego działa z jednej wieży na dru-
gą według ustalonego zgóry schematu, a precyzja
z jaką pociski padają budzi we mnie uczucie praw-

dziwej dumy. Strzał, kłęby kurzu i dymu i pojedyn-
cze postacie biegnących chłopców — oto widok, któ-
ry powtarza się z dokładnością maszyny. Nagle
w szklach lornetki dostrzegam coś, co w tej uregu-
lowanej pozornie grze jest niebezpiecznym zgrzytem.
Oto z jednej z wież wyskakują Niemcy. Jeden
roluje ścigany bryzgami naszego kaemu. Jeszcze nie
padł strzał z działa, a już widzę chłopców Kuby jak
wpadają do wieży. O, gdybym mógł ich powstrzy-
mać! Nowy huk wstrząsa powietrzem i za chwilę
wieża przez naszych obsadzona otacza się chmurą
pyłu, z którego powoli wynurzają się postacie żoł-
nierzy. Jednego prowadzą pod ręce dwaj koledzy.
Pcham gońca w ich kierunku, a sam, choć obawiam
się tam poważniejszych jakichś strat, przenoszę
wzrok na inne wieże, które są w tej chwili celem
dla naszego czołgu. „Pantera“ stoi w bramie i razi
ogniem bunkier, znajdujący się naprzeciw.

Dostrzegam Jana, który pod osłoną czołgu pod-
biega i widzę go wykrzykującego coś do Wacka, któ-
rego twarz wychyla się przez klapę. Czarny, Karol,
Laudański i inni przebiegają z lkm-em by zająć no-
we pozycje za przesłoną wału z kamieni, już wew-
nątrz Gęsiówki, kilkanaście metrów przed czołgiem.

Zbiegam schodami na dół, by za chwilę znaleźć
się u stóp wieży, za murem. Po chwili dołącza się
do mnie Piotr, który kilku skokami, drogą utorowa-
ną przez czołg, przebiega bramę, aby zapaść w jakiś
rów znajdujący się przed nami.

Teraz już wyraźnie widzimy jak z budynków i
wież pryskają Niemcy bezładnymi grupkami, ucie-

kając w ruiny Starówki. Ścigają ich serje naszych kaemów, a wieża, którą przed chwilą opuściłem rozbrzmiewa warkotem lkm-u, który przed chwilą jeszcze raził nas swoim ogniem. Coraz częściej widać przebiegających chłopaków, którzy podciągają broń maszynową ku przodowi, na wysokość pierwszych baraków. Dziwi nas zupełny brak oznak jakiegoś ruchu w pustych zda się budynkach. Do tej pory wszystko odbywa się jak w zegarku. Strzelanina milknie powoli. Ogień działa umilkł i teraz znów „Panterra“ posuwa się w kierunku pierwszego z rzędu baraku.

Wołam Laudańskiego i Karolka, by usunęli się nieco z drogi i żelazny kolos przetacza się koło nas, by za chwilę stanąć jak zamurowany, gdyż widok, który otworzył się przed naszymi oczami, był co najmniej dziwny. O ile dotychczas niepokoiła nas nieobecność ludzi na terenie, w który wtargnęliśmy, to teraz nagle drzwi baraków rozwarły się pod naporem, a całe przedpole zaroiło się masą pasiastych postaci, biegnących w naszą stronę z niebywałym krzykiem i wymachiwaniem rąk, odgradzając nas tym samym jakby żywym murem od uciekających Niemców. Radość z uwolnienia promieniała z wszystkich twarzy. Była ona napewno większa od naszej zmęczonej faktem, że przez chwilę byliśmy bezradni wobec nieprzyjaciela. Km-y nasze musiały zamilknąć, co Niemcy wykorzystali, uciekając długimi susami w kierunku Starego Miasta.

Przez moment poczułem, jak gardło moje ścisła skurecz radości, że zdążyliśmy na czas. Obawialiśmy



się bowiem, by Niemcy nie zlikwidowali więźniów przed naszym przybyciem. Ale gdy poczułem się nagle uwięziony przez masę cisnących się do mnie „Haeflingów“, usiłujących w różnych językach wyrazić swoją wdzięczność i radość z uwolnienia, zdałem sobie sprawę z trudności położenia i nakazałem „ostro kierować się wszystkim do dużego murowanego garażu, który przylegał do muru. Pasiasta masa potulnie choć radośnie wykonała ten rozkaz i nasze km-y mogły zacząć swą przerwana muzykę, która dla wroga była muzyką śmierci.

Od lewego skrzydła, kolejno ubezpieczeni przez czołg i sąsiadów, zaczęli chłopcy penetrować baraki. Posunęliśmy się ku przodowi, jedynie Piotr został z uwolnionymi. Do budynku zarządu wpadł Giewont z jednym ze swych plutonów, ja z Janem i adjutantem wbiegliśmy za nim.

Widok, który ukazał się naszym oczom, był widomym znakiem całkowitego zaskoczenia, jakim był dla Niemców nasz atak. W dużej pięknymi meblami, aczkolwiek niegustownie umeblowanej sali, stał długi stół, nakryty białym obrusem, a na nim waza z dymiącą jeszcze zupą, wina i wódki. Jedynie powywracane krzesła dowodziły, że uczta została przerwana niespodziewanie, a biesiadnikom bardzo było śpieszno opuścić piękną salę. Wielki, antyczny zegar w kącie sali poważnie wydzwaniał 11-tą. Sypnęły się dowcipy, a Giewont, wypchnąwszy część ludzi na ubezpieczenie, zaczął celebrować rozpoczętą ucztę. Wesołość i radość powiększała się w miarę jak przybywali wciąż nowi koledzy przyno-

sząc broń, gazety, amunicję — tak cenne dla nas zdobycze.

Opuściłem rozbawione towarzystwo nakazując Giewontowi zaciągnąć konieczne ubezpieczenie i patrolami przetrząsnąć teren całej Gęsiówki i udałem się wraz z Janem do uwolnionych. Natychmiast otoczyła nas zwarta ciżba rozpromienionych postaci. Posypały się błogosławieństwa, ktoś usiłował ucałować mi rękę, co wprowało mnie w najwyższe zakłopotanie. Zaraz też rozpoczęły się chóralne niemal prośby: „Dajcie nam broń, dajcie mundury, chcemy walczyć z wami“. Ponad innymi górowały głosy polskie. Ten i ów podawał swoje nazwisko. Wielu okazało się być obrońcami ghetta.

Patrzyłem na ich twarze rozradowane, a myśl moja wybiegła do tych strasznych chwil, kiedy w obliczu tragedji, jaką przebywali nasi współobywatele w oblężonym ghetcie, czuliśmy całą swą bezsilność. Oddział był wtedy „na dorobku“. Mieliśmy zaledwie kilka stenów, jakiś lkm zdobyty za cenę życia naszych kolegów i wszystko, co mogliśmy zrobić, to oddać tę broń, jak nakazywał rozkaz Grota, bohaterskim obrońcom ghetta.

Pamiętam odprawę, na której zakomunikowałem chłopcom ten rozkaz. Wiedziałem, że trudno im będzie rozstać się z bronią, z takim trudem zdobytą, ale nie odezwał się żaden głos protestu i jedynie nieśmiała propozycja: „Czy nie moglibyśmy z tym, co nam zostanie spróbować zlikwidować przynajmniej jedną placówkę niemiecką, by swoją cegiełkę doło-

żyć“, była dowodem zrozumienia dla bohaterskich obrońców ghetta.

Dołożyliśmy i tę cegielkę, a skromna rozmiarami akcja odbywała się w miejscu o kilkaset kroków zaledwie od tego, w którym obecnie znajdowaliśmy się, a podziękowania przysły z ust tych, którym wtedy istotnie skutecznej pomocy nie byliśmy w stanie okazać. Poleciałem kilku energiczniejszym uformować z uwolnionych jakąś względnie porządną kolumnę i zaprowadzić ich do „twierdzy“, gdzie Fil, nieoceniony kwatermistrz, miał zająć się nakarmieniem i umundurowaniem uwolnionych.

Sam udałem się do pułkownika Radosława, by mu zameldować, że „zadanie wykonane, więźniowie uwolnieni“ i prosić go o zezwolenie na zatrzymanie tych, którzy wyrażą chęć walki w moim oddziale, oraz o dyspozycję dla pozostałych.

Uścisk dłoni pułkownika i krótkie „dziękuję“ było aż nadto wymowne, a zgoda na zaciąg i umundurowanie przyjęta została przez uwolnionych z najwyższym entuzjazmem.

Z jakim gorączkowym pośpiechem zrzucałi oni swe pasiaki, by ubrać się w mundury, które do niedawna mieli prawo nosić jedynie ich prześladowcy! Ile radości promieniało z twarzy tych, którym tylekroć śmierć zaglądała w oczy.

Zygmunt i Wacek dobierali mechaników do obsługi czołgów i samochodów. Fil poszukiwał kucharzy. Zgłaszali się krawcy, szewcy i fryzjerzy. Każdy chciałby walczyć w oddziale, który ich uwolnił i wi-

działem pewien zawód w oczach tych, których musiałem przekazać innym oddziałom.

Całe to targowisko odbywało się w atmosferze wielkiej radości, gdyż natarcie na Gęsiówkę, poza uwolnieniem Żydów, przyniosło moc broni i amunicji, a maskarada, która się odbywała na podwórzu „twierdzy“, dawała co chwilę powód do ogólnej wesołości, gdy z magazynu od Fila wynurzał się jakiś amator dziwnego nakrycia głowy, jakim bez wątpienia był pokrowiec od hełmu, lub delikwent ubrany w mundur o wiele nań za duży lub za mały.

Trzask rozrywających się w podwórzu pocisków z moździerza przerwał ogólną wesołość i wszyscy schronili się do budynków. Jedyne grupka sanitariuszy schodziła powoli, niosąc rannego, niedawnego „Heftlinga“, obecnie żołnierza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, którego twarz mimo bólu promieniała radością, bo wokół widział twarze życzliwe i zatroskane braci walczących o wspólną sprawę.

ZE „STARÓWKI“ DO ŚRÓDMIEŚCIA

W dniu 9 sierpnia 1944 roku — po zajęciu Woli — Stare Miasto zostało ostatecznie odcięte od Śródmieścia. Niemcom udało się odkorkować dostęp do Wisły i wyrąbać szerokie przejście, wiodące od ul. Wolskiej i Chłodnej przez Pl. Żelaznej Bramy, Ogród Saski, Plac Marszałka i Bednarską do mostu Kierbedzia.

Tędy od świtu do nocy płynęły niemieckie transporty wojska, zaopatrzenia i artyleria. Odpowiednio do swego znaczenia korytarz ten został silnie ubezpieczony przez niemiecką piechotę oraz oddziały czołgów „Tiger“ i „Panter“ Domy po obu stronach zostały wypalone — otwory okienne i bramy zamurowane, by zapobiec ostrzałowi ze strony polskiej. Na terenie Ogrodu Saskiego znajdowały się ponadto liczne stanowiska ogniowe granatników i moździerzy ostrzeliwujących sąsiednie dzielnice.

W końcu sierpnia sytuacja pozostałych przy życiu obrońców Starego Miasta stawała się coraz bardziej beznadziejna, a pierścień niemiecki zacieśniał się z dniem każdym. W dniu 30 sierpnia padł rozkaz rozerwania tego pierścienia i przebicia się do Śródmieścia załogi „Starówki“ w liczbie około 1.400 ludzi. Zadanie to wymagało przedarcia się przez pozycje nieprzyjacielskie na przestrzeni między Bielańską a Ciepłą — przestrzeni najeżonej stanowiskami ckm-ów, granatników i patrolowanej nieustannie przez czołgi oraz oddziały SS. policji i kłmuków.

Próba przebicia się w ogniu niemieckim zawiódła z jednym wszakże wyjątkiem. Udało się szczęśliwie przebić i przejść przez Ogród Saski harcerskiemu Batalionowi „Zośka“. Reszta obrońców opuściła „Starówkę“ w nocy z dnia 31-go sierpnia na 1-go września i przedostała się do Śródmieścia kanałami.



-ty dzień sierpnia 1944 roku.
30-ty dzień powstania. „Starówka“ nasiąkła krwią obrońców, dusząca oparem spalenizny, wielkie śmietniko niepotrzebnych już nikomu rzeczy, a jednak — wspaniała.

Zgliszcza Katedry i Rynku, zwaliska Podwala i Długiej. Szkielety domów bez okien, a jednak wszystko tchnące nocą niezwykłą.

W tym wszystkim ludzie — obrońcy. Wśród nich zgrupowanie Radosława składające się z batalionów: „Zośka“ — „Parasol“ — „Czata“.

I nagle rozkaz: „Przebijamy się do Śródmieścia“. Czoło natarcia ma stanowić batalion „Zośka“, lewe skrzydło — „Wigry“ z WSOP-em, prawe — zgrupowanie majora Sosny.

Jak trudno żołnierzowi, który 72 godziny bez odrobiny snu tkwi na posterunku, który 72 długie godziny wytrzymuje ogień „Stukasów“, artylerji i gra-

natników, odpiera furiackie ataki niemieckiej piechoty i czołgów, jak trudno mu powiedzieć, że musi zrobić jeszcze jeden wysiłek.

Batalion „Zośka“, a raczej jego niedobitki: 50 procent strat w kompanii „Rudy“, 30 procent strat w kompanii „Maciek“, z kompanii „Giewonta“ pozostało zaledwie 3 ludzi przy życiu — oto bilans miesiąca walki.

Odprawa: płk. Machnowski i Radosław, płk. Ku-ba i mjr. Jan — dowódcy batalionów.

Trasa ustalona. Podstawę wyjściową do natarcia stanowić ma Bank Polski, następnie skokiem przez Bielańską w rumowiska między Bielańską a Senatorską, Senatorską do Szpitala Maltańskiego, który wiązany będzie ogniem „Czaty“ z wjazdu kanałowego na Placu Bankowym. Przez Plac Bankowy do ul. Przebieg i Hal Mirowskich, Skórczaną do ul. Krochmalnej, a tam już — nasi.

Natarciem dowodzi major Jan, ja go zastępuję. Ustalamy swoje miejsca. Ja z kompanią „Rudy“ na czele natarcia. Jan przy odwodach. Rozumiemy wszyscy wagę zadania, którym jest otworzenie i utrzymanie drogi dla ewakuacji Starego Miasta, a raczej rumowisko gruzów, jakie po nim zostało a teraz nie było już w stanie dać obrony niezliczonym rzeszom ludności, rannym i chorym.

Jan wyrusza natychmiast do Banku Polskiego, by przynajmniej wzrokowo rozpoznać trasę natarcia, ja zajmuję się gorączkowo montowaniem oddziałów uderzeniowych, a sprawa to nie łatwa. Z wyjątkiem niewielkiego odwodu, składającego się zresztą

z łżej rannych, wszyscy moi żołnierzą tkwią na pozycjach, rozciągających się szerokim łukiem od szpitala Jana Bożego przez Konwiktorską, Winiarską, teren Fiata, Zakroczymską aż do Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, atakowani bez przerwy to przez „Stukasy“, to przez czołgi niemieckie, tak zmęczeni, iż zasypiają na pozycjach, mimo wściekłego ognia artylerii i granatników niemieckich.

Udaję się do Andrzeja Morry, dowódcy kompanii „Rudy“, i, korzystając z przerwy między jedną a drugą detonacją, zapoznaję go z zadaniem. Tak samo informuję innych dowódców.

Obowiązuje zachowanie całkowitej tajemnicy. Oddziały mają być ściągnięte wieczorem, cicho, bez zwrócenia uwagi Niemców i zastąpione niewielkimi patrolami w stosunku mniej więcej 3 ludzi na odcinek plutonu z zadaniem markowania częstym ogniem ze zmiennych miejsc licznej rzeszy obrońców.

Trudno jest przedstawić, jaki ogrom pracy musi wykonać dowódca, aby wprowadzić w życie plan, zakłócany ciągle ubytkiem ludzi, którym się powierzyło pewne zadanie, to znów koniecznością zmiany postanowień ze względu na wytworzoną niespodziewanie sytuację, gdy każdy następny meldunek jest smutniejszy od poprzedniego a ciągły ruch noszy niesionych przez dzielne sanitariuszki, jest widomym dowodem wykańczania się i tak już niewielkiej liczby obrońców.

A to przecież nie wszystko, bo szpital nasz — królestwo doktora Broma, przepełniony jest rannymi

mi, których trzeba ewakuować. Część rannych a jest ich około setki, chcę ewakuować jeszcze przed rozpoczęciem natarcia — kanałem. Mowa tu jedynie być może o takich, którzy nogi mają w porządku i znieść mogą przejście tego rodzaju, inni, a przede wszystkim ciężko ranni muszą czekać, aż droga będzie przebita.

I oto w największej gorączce przygotowań, przychodzi jedno niespodziewane ułatwienie: z chaosu gruzów, między jednym a drugim atakiem „Stukasów“, wynurza się niespodziewanie Witold, naczelnik harcerzy, który wiedząc w jak ciężkim położeniu znajduje się batalion, przyszedł kanałem ze Śródmieścia, by służyć nam swoją pomocą. Natychmiast zapoznaje go z zadaniem, które jest dla niego całkowitym zaskoczeniem i wkładam mu na barki ciężki obowiązek zajęcia się ewakuacją lżej rannych.

Początkowo próbuje oponować, gdyż widzi swoje miejsce przy batalionie w natarciu, ale krótki rozkaz, jaki mu rzucam, rozwiązuje sprawę. To był jedyny moment w tym dniu, kiedy uśmiechnąłem się, widząc jego zakłopotaną twarz, która za chwilę przyjęła tak dobrze znany mi wyraz skupienia z jakim przystępował do każdej pracy. Zamieniamy krótki, ale jakże wymowny uścisk dłoni, i od tej chwili prawie go nie widzę, tylko jakaś kartka wsunięta mi do podpisu i jakieś pytanie, na które odpowiadam w przelocie pozwalają mi stwierdzić, że Witold działa.

Trudno dziś opowiedzieć, jakich sztuk i jakiego wysiłku trzeba było, aby o godz. 23-ciej, gdy Jan wrócił z rozpoznania, można mu było zameldować.

że wszystko w porządku, batalion gotowy do wyruszenia na podstawę wyjściową.

Napracowałeś się w tym dniu Wiko, wspaniała łączniczko. Napracowałeś się w tym dniu, Drogosławie, mój nowy adjutantcie. Napracowałyście się dziewczęta, których nie wszystkie imiona pamiętam, ale które wryły mi się w serce obrazem tego hartu i poświęcenia, jakiego były żywym dowodem.

Noc. Ostatnia dla mnie noc „Starówki“ położyła się na gruzy domów całunem grozy i majestatu, czernią zaułków i purpurą nieba, przecinanego czasami jaśniejącym kleksem rakiet.

Korowód cieni posuwa się gruzami, długim węzem najeżonymi bronią przeciska się przez wąskie wnęki bram staromiejskich. Wszędzie postacie ludzkie przylepione do murów, oczy błyszczące z pod hełmów, broń ściskana kurczowo. Mijamy długie karawany rannych na noszach, zbite masy tych, którzy czekają na to, abyśmy im otworzyli drogę do Śródmieścia.

Plac Krasińskich przebywamy biegiem, małymi rojami między jednym a drugim trzaskiem granatnika poprzez smugę świetlnych pocisków niemieckiego kaemu.

Krzyk bólu i skowyt ludzki wystrzela mrozącym krew w żyłach zgrzytem i znowu cisza.

A oto już Bank Polski. Idziemy jakimś dziwnym przejściem przez wyłom w murze, po drabinie długim korytarzem piwnicy, na podwórze. Dowódcy sprawdzają swe kompanie. Wszystko odbywa się w śmiertelnej ciszy. Morro zwraca się do mnie z prośbą, abym coś chłopcom powiedział.

Jan mówi parę słów. Dziękuje. Ja robię krótki bilans naszych walk powstańczych. Poległych czcimy ciszą. Wybiegam myślą ku kolegom poległym w konspiracji, którym nie dane było być z nami w momencie powstańczego zrywu. Przypominam, że okna tego budynku, w którym się znajdujemy, tylekroć patrzyły na samochody wiozące naszych kolegów, nasze rodziny na Pawiak i Szucha do obozów i na stracenie. Nie raz już ul. Bielańska rozbrzmiewała naszymi strzałami, a teraz otwiera nam drogę do swoich — do braci. —

Patrzę na skupione twarze chłopców — dzieci prawie i czuję, jak duma jakaś wypełnia mi piersi — duma, że właśnie mnie dane było dowodzić tymi wspaniałymi ludźmi, którzy już w konspiracji zdobyli batalionowi najwspanialszą sławę, a powstanie ją utrwaliło i pogłębiło. W paru słowach daję wyraz tym uczuciom. Wreszcie omawiam zadanie. Mówię poprostu i szczerze, nie ukrywając trudności i przewidując niespodzianki — tak właśnie, jak miałem zwyczaj to robić przed każdą akcją, drobiazgowo może, dokładnie, ale też i z wiarą, że udać się musi.

Naprawdę wierzę, że przejdziemy. Mam nawet zupełną pewność. Chłopcy, mimo, że pojmują całą trudność zadania, tę pewność zyskują również. Kończę i tylko przytłumiony gwar daje poznać, że chłopcy rozumieją i rozważają trudność.

Odprawa dowódców. Jan omawia całość zadania, podaje skromne wyniki rozpoznania, ustalamy kolejność czynności. Zostaje podana godzina wyruszenia z podstawy wyjściowej. Zadania podzielone.

„Wigry“ nacierają z ul. Daniłowiczowskiej, koło barykady na Bielańskiej — w ruiny zburzonych domów po drugiej stronie ulicy. Równocześnie mjr. Sosna wiąże ogniem stanowiska kaemów z ulicy Tłomackiej, ryglujących całą Bielańską. Ja z kompanią „Rudy“ wykonuję natarcie czołowe z Daniłowiczowskiej przez ruiny aż do Senatorskiej, na wysokości kościoła Św. Antoniego. W ostatniej chwili przydzielony pluton miotaczy płomieni z niewygodnym i mało przydatnym w tej akcji sprzętem ma być przyłączony do komp. „Rudy“, jako ubezpieczenie tylne. Kompania „Maciek“ naciera w drugim rzucie, wreszcie Sznicza z odwodami, przy których jest Jan.

Czekamy wszyscy z napięciem wyglądając umówionego znaku. Ostatnie pouczenie drużynowych. Wyznaczenie punktów docelowych.

Trudno może dziś ustalić, co spowodowało opóźnienie natarcia. Faktem jednak jest, że zamiast o 1-szej, sygnał był dany o 3.30, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno, ale już drobne oznaki wskazywały zbliżający się świt.

I oto naprężenie, które powstaje pod wpływem przeciągania się okresu wyczekiwania na umówiony znak — pęka i już widzę „Wigry“, biegnące skokami przez pustą przestrzeń ulicy, już spokój nocy zakłócony zostaje kaskadą wściekłego jazgotu karabinów maszynowych, a smugi świetlnej amunicji kaemów zamykają ulicę jakby drucianym płótem śmierci, która już zaczyna zbierać swe żniwo.

Piekielny ogień kaemów na jaki natrafiają „Wigry“, powoduje załamanie się uderzenia. Ulica

kłębi się ciałami poległych i konających żołnierzy, a do huków wystrzałów dołączają się jęki rannych i kilkanastu ludzi cofa się. Pchnięci rozkazem Trzaski powtórnie nacierają, z równym niestety skutkiem.

Na prawym skrzydle u mjr. Sosny cisza i jedynie trzask niemieckich kaemów, bryzgami świetlnych pocisków ryglujących Bielańską, wskazują na to, że i tam z jakichś powodów natarcie nie ruszyło.

W chwilach takich coś skuwa serca żelazną obręczą, nerwy napięte wysiłkiem woli są sparaliżowane, świadomość osamotnienia potrafi podsunąć najbliżniejsze decyzje. My, żołnierze konspiracji, znamy to uczucie, ten punkt przełomowy, który występuje w każdej niemal akcji, gdzie zwycięstwo od klęski oddzielone jest cienką nitką decyzji, na jaką się trzeba zdobyć.

Dają znak, krzykiem usiłuję zawrócić „Wigry” Ruszamy. Poprzez kłujący płot kaemów, w świetle wytryskiej nagle rakiety, schyleni wzdłuż barykady, przez niski murek oddzielający osypisko gruzów od ulicy — w ruiny.

Zapadamy w leje po pociskach, wnęki murów. Płuca łapią powietrze. I znów rakiety rozjaśniają przestrzeń. Pozwala mi to zorjentować się w położeniu. Całe rumowisko usiane wtulonymi w nie postaciami. Obsługi kaemów podciągają na skrzydła. wolnym pełzaniem przecinają rudą masę rozbitego muru. Kilka postaci nieruchomych nienaturalną nieruchomością martwych, inne rytmicznym ruchem machinalnie szarpią ziemię, nieludzkim skomleniem wypełniając powietrze.

W całą masę biją niemieckie kaemy z kilku kierunków: od Tłomackiego, Senatorskiej i Pl. Teatralnego. Rykoszety pocisków nad naszymi głowami. Drobne odpryski muru ranią dotkliwie. Na prawo w leju Wika z Małą Irką, operują ранnego, czasem jakaś postać poderwie się, aby pobiec parę kroków i zapaść znowu w ziemię.

Powtórnie podrywam ludzi, którzy mijają mnie szybkim, zdyszanim biegiem. Część ludzi z plutonu miotaczy wryła się kurczowo w ziemię i ani głos mój, ani nawet wściekły ogień granatników, jaki za chwilę wybucha z szatańską siłą, nie jest w stanie poderwać ich do ataku.

Wściekłość chwytła mnie za gardło, bo w ciemnej czeluści ul. Daniłowiczowskiej, pod murem Banku, kłępi się reszta oddziału z Janem i odwodami czekając na ruszenie poprzedzającego ich oddziału. Wołam głośno: Jan — ruszać, Sznica — ruszać, a równocześnie zauważam jak zza muru nad naszymi głowami wychyla się postać Niemca w hełmie i wybuch granatu ręcznego zasypuje nam oczy piaskiem.

Odbezpieczam granat i wychyliwszy się za węgieł jak najdalej rzucam go w kierunku, z którego najpierw okrzyk bólu, a potem cisza dają możliwość stwierdzić, że rzut był skuteczny.

Jeszcze kilku ludzi popycham ku przodowi. Mija mnie stary kapitan Hłasko, mija mnie sanitariuszka Irka. Widzę, jak z cienia Banku wyskakują postacie pędzących żołnierzy. Jan z adiutantem i sanitariuszką oraz Sznica, biegną w pierwszym szeregu.

Chcę im wskazać kierunek, gdzie za przesłoną dość wysokiego muru można przebiec, unikając piekła granatników; znajdujemy się w nim od kilku minut i pochłania ono liczne ofiary spośród ludzi zalegających gruzy. W tym celu przeskakuję wysoką skarpe leja, by szarpnięty za nogę lec za chwilę w dole z odrętwiałą, przestrzeloną nogą.

But zerwany natychmiast jest cały we krwi. Uciskam nogę nad raną bandażem i włożywszy but spowrotem, kulejąc biegnę ku Senatorskiej. Mam przy sobie Sznicę z odwodem i resztę ludzi Morry. Po drodze mijamy Trzaskę, który stoi we wnęce muru, manipulując przy (jak się później okazało zranionej) ręce. Wołam do niego w przelocie: „Biegnij za mną” i mijam pustą przestrzeń jakiegoś ongiś podwórza, które rozbrzmiewa jękami rannych.

Silny wybuch przed nami zwała z nóg Sznicę, a mnie szpikuje znów kolana pokaźną ilością drobnych odłamków, których początkowo nie czuję prawie zupełnie. Sznica wstaje z okrwawioną głową i biegnie za mną dalej. Tuż za nami Trzaska. Dopadamy domów Senatorskiej i tu spotyka nas rozczarowanie.

Przejście domami równoległe do ulicy okazuje się niemożliwe, a sama ulica rozbrzmiewa już ogniem kaemów i salwami dział z niemieckich czołgów, które od strony placu Bankowego ryglują ogniem ulicę.

Przebijamy otwór w ścianie domu na wysokości pierwszego piętra i przedostajemy się na teren posesji, położonej naprzeciw kościoła św. Antoniego.

Świta. O jakże smutny widok przedstawiamy wszyscy. Prawie nie ma człowieka, któryby nie był ranny. Twarze szare, częstokroć zakrwawione, podarte mundury, to wszystko w bladym świetle poranka wygląda jak jakiś ponury obraz.

Kilka dziewcząt uwija się wśród nas, usiłując przynieść ulgę rannym żołnierzom. Rozglądam się za Andrzejem Morro i dowiaduję się, że leży w bramie ciężko ranny. Śpieszę do niego, o ile mi rany w nogach na to pozwalają, po drodze wydaję rozkaz ubezpieczenia budynku od strony Tłomackiego i Biełańskiej, żeby z jednej strony dać możliwość dociągnięcia spóźnionym a z drugiej, aby nie dać się zaskoczyć Niemcom, którzy przecież muszą sobie здаwać sprawę z naszego tutaj pobytu.

Z największym smutkiem dowiaduję się również o śmierci Jana, który biegnąc na lewym skrzydle natarcia, wpadł na niemiecką placówkę z ckm-em i od tej chwili więcej go nie widziano. Słoń z ckm-em i paroma ludźmi skacze na drugą stronę Senatorskiej, by we wnęce muru u wejścia do kościoła ustawić lkm. dla związania ogniem niemieckiego ckm-u siekącego po bramie, oknach i murze naszego budynku seriami wściekłych bryzgów.

Dopiero teraz zbliżam się do Andrzeja, który jest przytomny mimo, że wygląda strasznie. Rana, którą otrzymał, to przestrzał karabinowy, który przeszedł przez nasadę nosa, zatokę Heimora i wyszedł policzkiem. Lidka, najdzielniejsza z sanitariuszek, robi mu wprawnymi rękami opatrunek. Mdlejącemu wlewamy w usta wódkę i to przywraca go do przytomności.

Wołam Sznicę, Witolda i Jana i podczas gdy Lidka kolejno opatruje nasze rany, bo i Sznica ma brzydką ranę głowy i moja noga mocno mi dokucza, omawiam krótko sytuację, w jakiej się znajdujemy. Jest nas około 70-ciu, w tym większość rannych — kilku ciężko. Nic nie wskazuje na to, abyśmy mogli liczyć na dołączenie innych oddziałów.

Wyznaczona trasa jest niemożliwa do przebycia. Ogień nieprzyjaciela w kierunku szpitala Maltańskiego i placu Bankowego wskazuje na to, że kanałowa impreza „Czaty“ nie udała się.

Domy spalone wprawdzie, ale stojące, nie pozwalają posuwać się skrycie wzdłuż Senatorskiej. Decyduję się zmienić kierunek natarcia, na kościół św. Antoniego, Bibliotekę Zamojskich, Ogród Saski, Palmiarnię, Gmach Giełdy, Królewską, Zielną, gdzie są już nasi. Natarcie to najlepiej byłoby prowadzić nocą, ale utrzymanie do nocy budynku, w którym jesteśmy, nie wydaje się możliwe ze względu na specjalnie trudną obronę. Wobec tego pierwsze zadanie, to opanowanie kościoła św. Antoniego, który się znajduje po drugiej stronie ulicy.

W tok naszych narad wpada zadyszanym głosem wyrzucony meldunek: „Natarcie niemieckiej żandarmerii od strony Bielańskiej i Tłomackiego na nasz budynek“.

Wstaję szybko i, nakazawszy reszcie pozostanie na miejscu i obserwację przedpola, sam biorę ze sobą dwóch ludzi z lkm-em i kilku „Stenistów“ i udaję się na pierwsze piętro budynku, gdzie Witold ze swymi ludźmi leżą we wnękach wielkich portfenetrów, mając doskonały wgląd na dużą pustą prze-

strzeń, rozciągającą się między naszym budynkiem a ruinami ulicy Bielańskiej.

Rzeczywiście szeroką falą tyraliery posuwają się Niemcy w sile, którą oceniam na dwie drużyny. Podchodzą, przetrząsają ruiny i zbliżają się do nas, nie zachowując żadnej prawie ostrożności, jakby nie wiedzieli, że budynek ten jest w naszych rękach. Szeptem wydają rozkazy i podczas gdy Witold umieszcza lkm-y na stanowiskach, sam z kilkoma ludźmi z pm-ami zajmuję miejsce naprzeciw otworu w murze, którym już wlewają się Niemcy.

Niespokojne spojrzenia chłopców uderzają we mnie, a raczej moją podniesioną rękę, która wnet opadła, rozpoczynając nagle szal ognia, jakim z blizkiej, bo około 30 metrów liczącej odległości, nasze lkm-y i pem-y rażą wroga. Skutki naszego ognia były straszne: z tyraliery niemieckiej pozostało jakieś drgające kłębowisko ciał i nie widziałem żadnego Niemca, któryby krył się, czy uciekał.

Wracam do Morry i podczas gdy pojedyncze strzały chłopców kończą krwawe dzieło, omawiam krótko sposób wykonania natarcia na kościół. Mamy skakać przez ulicę frontalnie, dość zwartym rojem, osłonięci z obu stron dymem naszych „filipinek“. Andrzej radzi wziąć świece dymne, które powinniśmy mieć dwie, a ja akceptuję ten projekt z radością.

Nie tracimy czasu, zdając sobie sprawę, że każda chwila jest droga. Wyznaczeni ludzie z Witoldem na czele są już na stanowiskach, by rzucić na dany znak granaty i świece dymne. Ja z Andrzejem Morro, Sznicą, Trzaską i resztą ludzi soimy przygoto-

wani do ataku naprzeciw wielkiego okna wystawowego sklepu, z którego mamy ten skok wykonać.

Daję znak gwizdkiem i huk granatów rozrywa powietrze, a wały dymne z dwu stron tworzą jakby korytarz, którym przebiegamy kilku susami, przesadzając dzielącą nas od kościoła przestrzeń. Nie zatrzymujemy się ani na chwilę, lecz krużgankiem i przez plac wpadamy do kościoła, rażąc ogniem zaskoczonych i uciekających w popłochu SS-manów.

Jeszcze nie opadły kłęby dymu z naszych świec i granatów, a już ludzie tkwią na zgóry im wyznaczonych stanowiskach, a nasze lkm-y siekają stanowiska niemieckiej broni maszynowej, wynurzające się z poza opadającego dymu.

Kościół św. Antoniego przedstawia obraz barbarzyńskiego zniszczenia. Szaty liturgiczne, wspaniałe ornaty i chorągwie zdeptane leżą na płytach posadzki, tworząc barłogi SS-manów. Naczynia kultu walają się rzucone po kątach, a wszędzie widać porzuconą broń, granaty, dużo żywności i wódek.

Zgłodniali i zmordowani chłopcy rzucają się najpierw na broń, a potem dopiero na jedzenie. Mnie przynosi ktoś kilka pomidorów, przysmak od dawna zapomniany.

Morro z Drzazgą, Słoniem i jedną sekcją z lkm-em robi rozpoznanie przedpoła, aż do biblioteki Zamojskich, wychodząc przez spaloną piwnicę kościoła. Jest widno zupełnie i słońce, przebijając witraże okien, rozświecła nawet wiązkami kolorowych promieni.

Meldunki z posterunków obserwacyjnych donoszą, że dom, który przed chwilą opuściliśmy, jest już zajęty przez Niemców, co potwierdza zresztą ogień ckm-u przez drzwi frontowe, przepoławiający kościół aż do wielkiego ołtarza. „Pantery“ niemieckie zbliżają się do nas i za chwilę fronton budynku rażony jest pociskami dział i kaleczony odpryskami kul.

Są znowu ranni.

Meldunek Morry, który zostawił Słonia na ubezpieczeniu, pozwala mi powziąć decyzję opuszczenia kościoła, by przenieść się do piwnic spalonej całkowicie biblioteki Zamojskich. Korzystając z ataku „stukasów“, które atakują właśnie Bank Polski i okolice Bielańskiej w huku i trzasku rozrywających się bomb, opuszczamy kościół, by biegiem przebyć pustą przestrzeń, rozciągającą się na tyłach kościoła obok jakiejś oranżerii, do Biblioteki. Po drodze ginie z ręki Morry SS-man, ostatni świadek naszego przejścia.

Schyleni wchodzimy do ciemnej piwnicy. Długim korytarzem zawalonym jakimiś skorupami przy każdym kroku wydającymi ostry dźwięk, idziemy wolno, bez słowa.

Gdy wszyscy są już w budynku, wydaję rozkaz zatrzymania się, a sam ze Słoniem i Sznicą obchodzę piwnice, wyznaczam posterunki, badam przedpole. Okna piwnicy, w której się znajdujemy, wychodzą na podwórze Biblioteki. Zamykamy drzwi wszystkich piwnic i w ten sposób korytarz staje się wąskim wprowadzie, ale dość bezpiecznym schronieniem. Moje mp. ustalam w piwnicy frontowej, której dwa

okna wychodzą na Ogród Saski. Zbliżywszy się do okna stwierdzam, że w odległości około 50 metrów przed nami przebiega aleja, łącząca ulicę Alberta z Placem Bankowym, za nią na wzgórzu rysuje się wyraźnie świątynia Sybilli. Nie może być lepiej podstawy wyjściowej do ataku na Ogród. Jediną przeszkodą jest ciągły ruch samochodów niemieckich, długą falą przeciągających w obu kierunkach.

Cofam się z wolna od okna i postanawiam przeczekać w piwnicy możliwie do zmierzchu. Stan wy-czerpania ludzi jest tak wielki, że wypoczynek jest konieczny.

Wystawiam konieczne ubezpieczenia. Sam pozostaję we frontowej piwnicy. Obok mnie, z głową na kolanach Lidki leży Andrzej, któremu zmienia ona stale opatrunki.

W ciemnym wylocie korytarza Drogosław zajmuje stanowisko przy lkm-ie skierowanym ku oknu, które wychodzi na Ogród. Zmieniać się mają w miarę znużenia ze Słoniem i Drzazgą. Zadanie ich, to obserwacja przedpoła widocznego w jasnym kwadracie okna, a obejmującego duży odcinek ruchliwej drogi.

Jestem tak umieszczony, że widać mnie dobrze z korytarza, gdyż siedzę w jasnej piwnicy, ale zato nie mam wglądu przez okno, do którego siedzę tyłem, za załomem muru, jedynie jasny kwadrat słońca rzucony przez okno na ścianę piwnicy pozwala mi dostrzegać ewentualne zbliżanie się kogoś do okna.

W wypadku próby zaatakowania nas przez Niemców mamy wyskoczyć na zewnątrz. W tym celu przygotowaliśmy z zachowaniem możliwie największej ciszy wyjścia przez okna, przez które w razie

konieczności będziemy przebijać się w kierunku zamierzonym. Sygnał do natarcia dam ja, po zapowiedzi pogotowia.

Nawet gdyby sytuacja wyglądała jak najgroźniej, strzelać nie wolno bez mojego rozkazu. Nie wolno nam w żadnym wypadku zdradzić naszej obecności w tym domu, gdyż każda zyskana godzina zbliżająca zmierzch zwiększa szanse naszej wygranej.

W ten sposób rozpoczął się jeden z najbardziej makabrycznych dni, jakie przeżyłem, dzień, który wrył się głęboko w naszą pamięć, stając się symbolem karności i dyscypliny silniejszej niż śmierć, bo płynącej z głębokiego zaufania dowódcy do żołnierza i odwrotnie, zaufania, które tylko głęboka przyjaźń i wspomnienie przeżytych niebezpieczeństw zrodzić może.

Siedzę skulony, plecami opieram się o ścianę, możliwie wygodnego szukając położenia dla mych zbolałych nóg, które krwawią mocno, a jedna — prawa — silnie puchnie. Obok mnie siedzi na wiadrze z popiołem Xen w specyficzny sposób walczący z ogarniającą go sennością. Trzyma mianowicie w rękę garść drobnych monet i ruchem miarowym, automatycznym liczy je przekładając z ręki do ręki.

Andrzej śpi ciężkim, niespokojnym snem. Usta szeroko otwarte wydają czasem cichy jęk, który odbija się w naszych uszach głośnym echem. Martwiejemy wówczas w bezruchu, nasłuchując, czy nie wywoła on czasem jakiejś reakcji zewnątrz.

Każdy najdrobniejszy ruch nasz wywołuje przykry trzask blach i skorup, zalegających podłogę piwnicy, a serca nasze ściska obręczą trwogi.

Lidka zmienia mi opatrunek. O błogosławione niech będą ręce, które taką ulgę przynieść potrafią.

W korytarzu panuje cisza, taka dziwna cisza, brzemienna obecnością wielu ludzi. Czasem słysząc brzęk broni, po którym cisza wydaje się jeszcze głębsza.

Zdala, z kierunku z którego przyszedliśmy, dobiega naszych uszu ciągła strzelanina. Detonacja pocisków i ogień granatników pozwalają przypuszczać, że Niemcy ciągle atakują opuszczony przez nas kościół.

Przed oknami coraz to częściej pojawiają się patrole niemieckie, myszkujące wszędzie, ale jak dotychczas, omijają nasz budynek. Około jedenastej strzelanina ucichła, a głośne krzyki pozwoliły stwierdzić, że nieprzyjaciół wdarł się do kościoła. Po chwili Słoń, który tkwił w tym momencie na posterunku przy lkm-ie, zasygnalizował zbliżenie się grupki około 15 Niemców z granatami w rękach.

Zarządzam pogotowie, ale żadnych ruchów wykonywać nie wolno bez mego znaku. Cała rozmowa odbywa się szeptem i znakami. Liczba Niemców wzrasta do 30, mówią mi palce Słonia, a oto już kwadrat okna na ścianie zostaje przysłonięty, słyszę wyraźnie ciężkie kroki nad naszymi głowami i odgłos toczenia się jakiegoś niewielkiego przedmiotu rozlega się w piwnicy.

Wychylam wolno, ostrożnie głowę, aby stwierdzić, że toczy się ku mnie trzonkowy granat niemiecki. Padam na ziemię pociągając za sobą Xena, a oto już uszy nasze rozsadza potężny huk. Oczy zasypane popiołem starają się przebić tuman pyłu

wzniesionego wybuchem. Pierś dyszy ciężko, chwytając w płuca powietrze pełne pyłu.

I jeszcze jeden wybuch i jeszcze jeden.

W rękę trzymam odbezpieczony granat, a Xen unosi się z tumanu pyłu ze „Stenem“ w rękę. Nadsluchujemy, czy w piwnicy nie dosłyszemy jakiegoś ruchu.

Cisza.

Kroki zwolna się oddalają i po chwili słychać detonacje w innych częściach budynku. Raz zdawało mi się, że jęk cichy wyrwał się z jakichś ust, a z ciemnego korytarza piwnicy szeptem nerwowym wybiegło pytanie: — „Ruszamy?“.

Ruchem ręki odpowiadam: „Czekać“. I wszyscy słuchają w milczeniu, jak kroki się oddalają, a za chwilę dalekie detonacje są dowodem, że piwnice innych budynków są przedmiotem zainteresowania Niemców.

Mijają długie minuty napięcia. Bilans pierwszego ataku, to lekka rana od jakiegoś odprysku, jeden zysk, to wiara w to, że schronienie jest bezwzględnie bezpieczne.

Od tego momentu systematycznie co godzinę powtarza się ta sama historia. Stan nerwowego napięcia osiąga kulminacyjny punkt, gdy po obrzuceniu nas granatami, Niemcy po krótkiej naradzie zaczynają prac krótkimi serjami przez okna z lkm-u. Drzwi piwnic są niewystarczającą ochroną i trzeba mieć wiele hartu, by znieść ogień pocisków uderzających o metr nad głowami wtulonych w ziemię chłopców.

Ręka moja wznosi się do góry, a ze zduszonej piersi Drogosława wyrывa się okrzyk: „Popruję“, ale ręka nie opada, mimo że wszystko pcha mnie do tej decyzji, a korytarz piwnicy nie rozbrzmiewa trzaskiem km-u, zduszonego rzekłbyś wahadłowym ruchem ręki. Był to najsilniejszy tego dnia atak Niemców, którzy snadź uspokojeni, ograniczyli się już tylko do wrzucania przy każdej zmianie warty granatów.

Raz jeszcze serca nasze ścisnął skurcz, gdy nad głowami naszymi rozległo się kucie, ale czy była to jakaś czynność Niemców, którą sobie źle wytłumaczyliśmy, czy też z jakichś powodów zrezygnowali z przebicia, dość że kucie ustało i znów cisza zapanowała w piwnicy. Pomimo wszystko Niemcy nie odważyli się na wtargnięcie do podziemi.

Zmrok zapadał szybko, a wraz z nim malał ruch na drodze przed naszymi oknami.

Dwie obsługi km-ów z Witoldem przeniosły się już do mojej piwnicy, czekając na sygnał do wymarszu. Naradzam się ze Sznicą jak zabrać Andrzeja, gdyby nie mógł iść o własnych siłach, wreszcie daję rozkaz Witoldowi wypełnienia z piwnicy i zajęcia stanowiska w krzakach po obu stronach okien celem ubezpieczenia wymarszu.

Wszyscy jesteście w mundurach i hełmach niemieckich zdobytych w pierwszych dniach powstania w magazynach na Stawkach. Tylko czerwono-białe opaski na ramieniu — niewidoczne zresztą w ciemności — odróżniają nas od oddziału „Wafen SS“. Mamy szansę przejścia Ogrodu Saskiego jako oddział niemiecki.

Cicho, ostrożnie, pomagając sobie nawzajem wychodzą chłopcy na zewnątrz, bacznie badając wzrokiem przedpole. Stoje we framudze okna i obserwują znikające w gąszczu krzaków cienie.

Szeptem dają ostatnie instrukcje Witoldowi i wracam do Andrzeja, który znów stracił przytomność. Lidka daje mu jakieś zastrzyki, my wlewamy mu w usta wódkę. Wszyscy czekają i choć chwila wymarszu odwleka się, nie słysząc żadnego szmeru zniecierpliwienia. Wreszcie Andrzej przytomnieje, a po kilku haustach wódki wstaje na nogi i gotów jest iść. Przejawia nawet dziwną energię. Komunikuję mu moją decyzję.

Zapowiadam wszystkim, aby milczeli, jedynie Drogosław i Witold znający dobrze niemiecki, mają iść na czoło i odpowiadać na ewentualne pytania. Dają znak, wychodzimy. Uwaga napięta do ostatnich granic pozwala zapomnieć o bólu nogi.

Długim korowodem cieni wypełniają chłopcy z piwnicy, zapadając w krzaki. Jakies dwa auta pancerne mijają nas szybko i znowu zapada cisza. W odległości 30 metrów od nas niemiecka kuchnia polowa rozbrzmiewa gwarem rozmów, a migotliwe światło ognia oświetla nas czasem czerwonym błyskiem płomienia. Leżymy chwilę bez ruchu, aby za chwilę kocimi skokami przebyć jasny pas drogi i zapaść w gąszcz krzaków po drugiej stronie. Mijamy pozycje granatników niemieckich, wieje od nich pustką.

Posuwamy się jeszcze kilkadziesiąt kroków, by zobaczyć, jak przed budynek, który opuściliśmy przed chwilą, zajeżdżają budy żandarmskie, z któ-

rych wysypują się żołnierze i otaczają dom prawdopodobnie w celu ostatecznego przeszukania.

Jeszcze chwila i dają znak. Podnoszą się wszyscy, by spokojnym wolnym krokiem i szerokim rojem iść za mną i Andrzejem Morro, Witold z Drogosławem rzucają do siebie głośno krótkie zdania po niemiecku.

Broń w rękach gotowa do strzału. Granaty. Ubezpieczenia z bronią maszynową na czole, bokach i tyle roju.

Marsz nasz jest coraz to swobodniejszy, aczkolwiek odbywa się w ciszy. Mijamy główną aleję i dochodzimy na wysokość Palmiarni, gdzie przy barykadzie ruszają się jakieś postacie. Siatka płotu oddziela nas od ulicy. Wysuwam się naprzód, by znaleźć przejście, gdy od strony barykady pada po niemiecku wypowiedziane zdanie: — „Tędy nie przejście, musicie się cofnąć“. — Drogosław bezczelnie odpowiada po niemiecku: — „Wiemy którądy mamy iść“ — i idziemy dalej wolno defilując przed zdziwionymi nieco Niemcami w kierunku Marszałkowskiej.

Ponieważ przewiduję walkę o gmach Giełdy, więc staram się całą przestrzeń dzielącą nas od niego przejść możliwie bez wystrzału. Trudno mi przeto zgodzić się na propozycję Andrzeja cięcia siatki gromonem, lecz szczęśliwie znajduję nagle szeroki otwór wyrwany widać jakimś wybuchem — i nie namyślając się wiele, przebiegam ulicę, a za mną schylając się nisko Andrzej, Witold, Drogosław i reszta.

Tu już jesteśmy w zasięgu broni naszych kolegów, obsadzających domy na Marszałkowskiej i Królewskiej, co nakazuje nam zwiększyć ostrożność

i wykorzystywać możliwie przesłony, jakimi są drzewa. W niedalekiej odległości od Giełdy mijamy gniazdo niemieckiego ckm-u, z którego obsługa wywiązuje się znowu krótka rozmowa: — „A wy skąd?“ — pada pytanie. — „Z Pałacu Bruhla“ — rzuca Drogosław. — „Uważajcie bo tu ostrzał“ — „Da sind die polnische Ratten“ — ostrzegają Niemcy, pokazując rękoma w kierunku wypalonych domów na Królewskiej. — „No, ale damy im dzisiaj nauczkę“ — dorzuca Drogosław. — „Powodzenia“ — i na tym kończy się rozmowa.

Za chwilę ruiny giełdy rysują się przed nami wyraźnym cieniem na tle czerwonego od pożarów niebo.

I znów znak ręką i cała masa biegiem rzuca się na budynek, by ku radości naszej stwierdzić, że Giełda pusta. Niemców nie ma, a od Polaków dzieli nas tylko szeroki, pusty pas ulicy Królewskiej.

Podciągam wszystkich do niskiego murka, jaki nas dzieli od ulicy, gdy nagle seria z km-u, bijącego ze stanowiska polskiego na narożniku Królewskiej i Marszałkowskiej uderza w mury Giełdy osypując nas mnóstwem odprysków. Mój sąsiad zwija się nagle, bez jęku niemal, i pada, jak snop ścięty na ziemię, zostaje już tam bez ruchu. Schylam się nad nim, by stwierdzić, że nie żyje. Był to jeden z trzech ostatnich żołnierzy kompanii „Giewont“.

Podnoszę się natychmiast i wołam ku swoim, a chłopcy powtarzają skandując: „Zgru-po-wa-nie Ra-do-sła-wa, Sta-rów-ka, nie strze-lać“ — i wypadamy z Giełdy, przecinamy skośnie ulicę, wpadamy w

Zielną, gdzie piętrzy się barykada i wpadamy wprost w ramiona swoich — Polaków.

Skok, skok, jeszcze jeden i jeszcze jeden. Już nikt nie biegnie więcej. Ulica rozbrzmiewa gwarem, w który wdziera się odgłos kilku niemieckich kmów, bijących z ogrodu.

Prowadzeni przez przewodnika mijamy szereg barykad, by za chwilę zapaść w jakiejś bramie, gdzie żołnierze i cywile witają nas radośnie zdziwieni i przerażeni naszym wyglądem. Wyciągają się ku nam ręce z wodą, papierosami. Cisną się do nas ludzie, a wokoło słychać pogwar podziwu i radości.

Słychać błogosławieństwo cichym głosem wypowiedziane przez jakąś staruszkę. I oto znów stoimy w niskiej ciasnej piwnicy i znów widzę kochane twarze chłopaków, brudne i poranione, ale uśmiechnięte i oczy zawisłe na ustach moich jakby czekały na rozkaz jakiś.

Czuję, jak radość napęlnia piersi moje, że jednak, że nareszcie... a usta same, jakby czytając w ich oczach życzenie, podają krótko rozkaz: „Do modlitwy“.

Hełmy zerwane z głowy, głowy podniesione, twarze rozpromienione uśmiechem radości i dziękczynienia. Płynie z ust modlitwa — stare, proste „Ojcze Nasz“... lecz z jaką mocą mówione. Nie wiem czy który z nas modlił się kiedy równie żarliwie.

Kończymy krótkim „Wieczny odpoczynek“ za tych, którzy nie doszli i hełmy znowu okrywają głowy.

Doszło nas sześćdziesięciu.

OSTATNI DZIEŃ CZERNAKOWA

Harcerski Batalion „Zośka“ bardzo skrwawiony walkami na najtrudniejszych pozycjach, wysłany został w pierwszych dniach września do dzielnicy wówczas najspokojniejszej — do Czerniakowa.

Ale i tutaj po jego przybyciu zmieniała się sytuacja. W połowie września Armia Czerwona przystąpiła do udzielenia bezpośredniej pomocy dla walczącej od tygodni Warszawy — pomocy jakże nikłej i spóźnionej. Nastąpiły rzuty broni i żywności na place Warszawy, a na brzegu czerniakowskim wylądował jeden batalion t. zw. Armii Berlinga. Dowodził nim oczywiście oficer sowiecki. Została nawiązana łączność z artylerią sowiecką. Fala nadziei przeszła przez miasto.

Ale natychmiast Niemcy z furją przystąpili do likwidacji przyczółka czerniakowskiego. Od 13-go września Czerniaków został otoczony, łączność ze Śródmieściem przerwana. Większości oddziałów Armii Krajowej udało się jeszcze wycofać kanałami do Mokotowa i Śródmieścia; pozostał jedynie batalion „Zośka“ z zadaniem utrzymania przyczółka, któryby umożliwiał dalsze lądowanie pomocy sowieckiej. Z miasta można było obserwować wściekły ogień artylerii i granatników niemieckich, ataki „Stuka“ słychać było ciągle ponawiające się natarcia niemieckie. 24-go września Czerniaków uciął.

Rankiem 24-go września do lokalu Głównej Kwatery Harcerzy w Śródmieściu przyszedł o lasce, okrwawiony, znużony śmiertelnie dowódca harcerskiego batalionu; żołnierskimi słowami opowiedział dramatyczną historię ostatniego dnia Czerniakowa, który był ostatnim dniem harcerskiego batalionu „Zośka“ i ostatnim dniem nadziei na jakąkolwiek rzeczywistą pomoc z brzegu praskiego.



ADSZEDŁ dzień 23 września. Obudziłem się ze stanu półdrzemki, w jaką zmęczony człowiek zapadał między jednym a drugim natarciem, między jedną a drugą obroną. W uszach huczą mi jeszcze ostatnie wybuchy granatów, rwących się nad naszymi głowami. Słyszę jeszcze ciche pojęk rannych i umierających, leżących pokotem w ciasnym korytarzu piwnicy, potrącanych przez kolegów śpieszących na stanowiska.

Alarm! Niemcy nacierają! Okrzyki te nie wywołują jakiegś gorączkowej krzątaniny, gdyż stały się już chlebem powszednim garstki obrońców. Pośpiech ich jest jakiś przytłumiony, jak pośpiech robotnika wykonującego swe codzienne czynności. I znowu terkot ckm'u zagłusza jęki rannych, granaty rwą się po staremu i po staremu giną ludzie.

Niemcy są już w garażu. Ich próby przedarcia się do budynku, w którym siedzimy my, paraliżuje nasz karabin maszynowy, długimi seriami wymiata-

jący podwórko. Kilku śmielszych żandarmów wije się już w mękach konania we drzwiach garażu. Inni cofają się w popłochu.

Teraz kolej na nasze granaty. Lecą „filipinki“, lecą sowieckie pance — przez bramę i dach garażu. Wyrrywają belki pułapu, który wali się z suchym trzaskiem i znów słyszać jęki rannych. Teraz my nacieramy, skokami przez podwórze za pierwszy filar bramy, do garażu, do stróżówki, starą drogą zaślaną nowymi trupami. Kilka krótkich serii peemów, jeszcze jeden wybuch granatów i cisza.

Chłopcy wracają zwolna, niosąc zdobycz; peemy, kb, granaty. Ale to, co niedawno jeszcze wzbudzało ich entuzjazm, dziś rzucane obojętnie, powiększa stos zgromadzonej już poprzednio broni, nikomu niepotrzebnej, bo przewyższającej znacznie wciąż malejącą liczbę obrońców. Patrzę na zmęczone i wymizerowane twarze, na których parodniowa głódówka wycisnęła już wyraźne piętno. Widzę, jak z ufnością patrzą na mnie, wierząc, że dzień dzisiejszy jest ostatnim dniem piekła, w którym tkwimy już szereg dni. To im obiecałem.

Leniwa myśl coraz bardziej gorączkowo układa plan przebicia się do Śródmieścia. Rzecz to niełatwa. Dane, którymi rozporządzam są bardzo skromne. Gdzie są Polacy? Przed 10 dniami ktoś nam przyniósł wiadomość, że nasi opanowali plac Trzech Krzyży, zajęli budynek w górnej części ulicy Książęcej, poszerzyli stan posiadania na teren Frascatti. Ale gdzie są obecnie? Czy utrzymali się na tych pozycjach, czy też zostali wyparci; a może są bliżej, niż

przypuszczam? Tej ostatniej myśli przeczy cisza, która trwa od paru dni na kierunku Śródmieścia.

A więc plac Trzech Krzyży — to chyba można przyjąć. Tu w tok myśli wpada gorączkowy meldunek: radiostacja nie działa, akumulatory wyczerpane, na współpracę artylerii sowieckiej już odtąd liczyć nie można.

Myśl, że ostatnia nić, łącząca nas ze światem została zerwana, wprowadza mnie w stan gorączkowej działalności. Zsuwam się z tapczanu, ciągnąc za sobą obolałą nogę. Kuszytkam z laską do kuchni, w której stoi radiostacja. Otaczają ją rozgorączkowane twarze: majora Łatyszonowa, radiotelegrafisty i kilku ludzi obsługi. Padają słowa polskie i rosyjskie. Dowódca plutonu łączności tłumaczy, że od kilku dni prosi o przysłanie nowych akumulatorów, ale bezskutecznie. Pozostają jeszcze rakiety, ale jak przy ich pomocy regulować ogień artylerii?

Pytam, czy mogą zastąpić akumulatory bateriami telefonicznymi i latarkowymi. To im nie przyszło na myśl — ale można spróbować. Wołam jednego z chłopców, znającego się na elektrotechnice, i polecam wymontować wszystkie baterie ze zbędnych zresztą aparatów telefonicznych. Polecam zebrać wszystkie baterijki z latarek, jakie się u nas jeszcze znajdują. Sam siadam i poddaję swą nogę zabiegom wprawnych rąk sanitariuszek.

Patrzę na ich umorusane i męczone twarze, na ich zręczne ręce, krzątające się żwawo przy bandażach. I znów doznaję dziwnego skurczu serca na myśl, co stanie się z tą garstką dziewcząt, które to-

warzyszyły nam wszędzie, w chwilach radosnych zwycięstw i ciężkich porażek. Myśl wraca ciągle do jednego wieczoru, jakże niedawnego, gdy w gronie najbliższych przyjaciół, dowódców kompanii i instruktorów harcerskich, siedzieliśmy przy kominku, z radosną gorączkowością snuliśmy projekty na „po wojnie“, szukając swego miejsca w wirze pracy obywatelskiej, której owocem miała być wielka i lepsza Polska. Piotr, Andrzej Morro, Długi, Witold, Florian, Kołczan, Jureczek Sadowy, Wika i ja. Mówiliśmy o metodzie pracy wychowawczej w naszym oddziale: o kształtowaniu charakteru pełnego człowieka. Padały gorące słowa, twarze oświetlone ruchliwym płomieniem kominka promieniały jakimś dziwnym zapałem.

A teraz? Zostaliśmy Witold, Wika i ja. Ciało Jureczka leży jeszcze teraz o dwa piętra nad nami, niedostępne z powodu wściekłego ognia npla, który przez zawałoną pociskami z „Tygrysów“ ścianę szczytową ma wygodną obserwację na klatkę schodową. Przecież z nim wczoraj jeszcze wspominaliśmy, na kilka minut przed jego śmiercią, kolegów poległych na Woli i Starówce.

W tok rozmyślań wpada gorączkowym głosem powtarzane: Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół... To odezwała się znowu radiostacja.

Zarządzam odprawę w ścisłym gronie: ksiądz Paweł, mjr Łatyszonow, oficer obserwacyjny sowieckiej artylerii, Witold. Oświadczam: W ciągu dnia dzisiejszego musi nastąpić ewakuacja reszty oddzia-

łów „Berlingowców“ i moich. Jest obecnie godzina 6 rano. Ewakuacja musi rozpocząć się od godziny 8-ej. W związku z tym żądam: o godzinie 7.50 ogień artylerii na pozycje niemieckie w rejonie ulic: Rozbrat, Solec, róg Ludnej, Gazowni, Zagórnej, Spółdzielni „Społem“, Okręg 2. Równocześnie ogień ciężkich dział na Sejm, Aleje Szucha, Pole Mokotowskie, Filtry, Ogród Saski, Szpital Łazarza. Ogień bezpośredni na Solec i Wilanowską po obu stronach przyczółka, który trzymamy między ulicą Wilanowską a Zagórnią. Zaporę ogniową po linii skośnej od ulicy Wilanowskiej róg Solca przez tereny „Społem“, Czerniakowską do Górnośląskiej. Sama przeprawa powinna zacząć się o godzinie 8-ej w kolejności następującej: ciężko ranni, lekko ranni, kobiety i ludność cywilna. „Berlingowcy“, ja ze swoim oddziałem. Ubezpieczenie przyczółka od strony płn. i zach. w czasie przeprawy obejmuje drużyna Jurasz wzmocniona ckmem, ubezpieczenie z płd. obejmą dwie drużyny fizylierów z jednym ckmem i dwoma lkmami. Stanowisko w miejscu lądowania obsadzi „Słoń“ z jedną sekcją z kmem. Ponieważ żołnierze nasi od trzech dni nic nie jedli, proszę o natychmiastowy zrzut żywności w rejon naszej posesji Wilanowska 1. W czasie przeprawy proszę o zasłonę dymną. Gdyby dowództwo 5-ej dywizji odmówiło z jakichś względów swej pomocy, jestem zdecydowany w nocy przebić się z oddziałem do Śródmieścia: szczegółowy plan i rozkazy podam do wiadomości w odpowiednim czasie.

Nie wiele było do dodania. Mjr Łatyszonow rozumiał całą grozę sytuacji. Żołnierze jego jawnie buntowali się. Wczoraj pewna ich część poddała się Niemcom, dziś coraz częściej słychać głosy za podaniem się.

Radiostacja znów pracuje. Mówi Łatyszonow. Powtarza słowo w słowo moje żądania. Po chwili komunikuje mi przychylną decyzję swego dowództwa z tym, że godzinę rozpoczęcia przeprawy przesunięto na 9-ą, a przesłona z mgły będzie wykonana w kilku oddzielnych falach. Dostaniemy 100 pontonów po 20 osób pojemności każdy. Kolejność przeprawy zaakceptowana.

Widzę wokół rozjaśnione twarze. Wieść o przeprawie podawana z ust do ust biegnie do najdalszych stanowisk. Dzień wstaje pogodny i Saska Kępa nęci bliskością swego brzegu, jasnością niezniszczonych domów. Na brzegu praskim obserwujemy niewielki ruch cywilnych kobiet.

Oczy strzelców tkwiących na stanowiskach kleją się ze zmęczenia. Patrzą na ich znękaną ciała, szarpane bólem ran niedostatecznie opatrzonych, zropiałych. Mówię z nimi spokojnie, rzeczowo, staram się wlać im w serca wiarę w szczęśliwe zakończenie dramatu, którego są aktorami, odchodzę szczęśliwy, gdy uda mi się wywołać uśmiech na ich twarze.

Wszystkim wmawiam, że czeka nas jeszcze dzień wysiłku, gdyż mimo wszystko spodziewam się przeprawy raczej w nocy niż rankiem, przypominam im naszą przeprawę przez Ogród Saski i mówię, że prze-

cięż zawsze możemy to samo powtórzyć — tym razem przez Ogród Frascati. Jakieś sztuczne ożywienie zdaje się wstępować w te wychudłe ciała. Padają nawet dowcipy. Słysząc gdzieś śmiech, dawno niespotykanego gościa w tym domu grozy.

Na powiększenie entuzjazmu wpływa ujawnienie się patrolu wysłanego po wodę. Poza kotłem wody przynieśli wspaniałą zdobycz: zdeptaną, twarłą skórę z wielkiego bochna chleba. Nie wiem, kto ją rzucił na drogę naszego patrolu; wiem jednakże, że takiej radości z pozornie tak błahego powodu nie widziałem dawno.

Mimo woli spoglądam w kierunku rzeki, ku drodze znaczonej ciałami poległych, ku rzece tak bliskiej, a tak okrutnie dalekiej. Chwilę zastanawiam się, ile krwi kosztowała każda kropla wody wydarła tej rzece. Jeszcze widać na brzegu zamarłego jakgdyby w ruchu czerpania człowieka, który już nigdy wody nie zaczerpnie ani nie zbliży do wyschniętych ust. Inny leży w postawie spokojnego spoczynku, jakby znużony długą drogą położył się na wilgotnym brzegu rzeki dla zaczerpnięcia oddechu.

Stanowczo zbyt często myśl moja ucieka — zawracam ją szybko do gwaru, którym rozbrzmiewa piwnica. To dziewczęta gotują prawdziwą zupę — chlebną zupę. O błogosławiona dłoni, któraś rzuciła na drogę moich chłopców skórę zeschniętego chleba. Ale w gwar radosnych głosów wdziera się znowu okrzyk Witolda: — Alarm, wszyscy na stanowiska!

To szeroką falą tyraliery biegną Niemcy z rejonu „Społem“. Skokami przebiegają ulicę. Ale już

kilku pada skoszonych naszymi karabinami. Inni jednak dopadają pod szczytową ścianę naszego bloku.

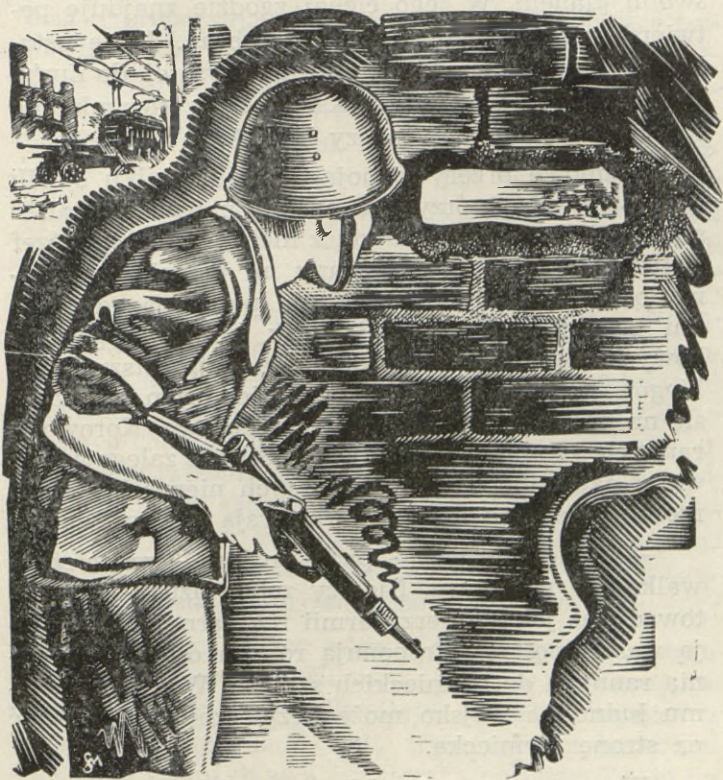
W ciasnym korytarzu piwnicy słysząc gorączkowe kucie młota i podczas gdy na podwórzu toczy się zażarta walka, w której peemy i granaty mają najwięcej do powiedzenia, ciemny korytarz piwnicy staje się widownią innej walki, nie mniej zażartej.

Oto nagle snop światła rozdziera mrok piwnicy i białe twarze rannych wychylają się z ciemności. W nagle powstałym w ścianie otworze ukazuje się ręka z jakimś woreczkiem, który usiłuje wcisnąć do środka. Rozlega się okrzyk: — Chcą wysadzić ścianę! — I już wre walka przy otworze. Worek już jest wypchnięty. Znowu zjawia się w otworze. Wreszcie wciągnięty do środka, umożliwia wetknięcie w otwór peemu. Krótka seria i granaty przez otwór. Jęki rannych, tupot nóg uciekających Niemców łączą się ze skowytem dochodzącym z podwórza. Znowu cisza, której przeraźliwość podkreślają pojedyncze strzały karabinowe.

Wracam do suteryny, w której ksiądz Paweł rozmawia z Martą. Marta to wspaniała łączniczka, narzeczona Jerzyka, którego ciało spoczywa nad nami. Płyną spokojnym potokiem ciche, dobre słowa Ojca Pawła i oczy dziewczyny powoli wysychają.

O, jak wdzięczny jestem losowi, że ksiądz Paweł jest ze mną. Jakże był mi pomocny ten dzielny kapłan w ciężkich chwilach. Rozmawiamy o sytuacji. Obaj nie mamy zaufania do tamtego brzegu, bo czyż można wierzyć zapewnieniom ludzi, którzy

przez trzy dni nie potrafili się zdobyć na zrzut żywności dla swoich żołnierzy, mimo, iż wiedzieli, że ci mdleją z głodu; nie potrafili zdobyć się na prze-



stanie rzeczywiście skutecznej pomocy mimo, że wiedzieli, iż każdy dzień opóźnienia stawia obrońców

w tragicznej sytuacji. I dlatego głównym tematem naszej rozmowy jest możliwość przebicia się do miasta. Ksiądz Paweł jest pierwszym, z którym dzielę się swoim planem. W jego cichej zgodzie znajduję potwierdzenie słuszności moich rozważań. Trasę ustalę: Solec, Wilanówką do Czerniakowskiej, do Zusa, Rozbrat, ogrodem wzdłuż Książęcej w kierunku na Instytut Głuchoniemych czy YMCA.

Rozmowę przerywa pojawienie się kilku cywili i wojskowych, którzy przychodzą z parlamentaryzami od Niemców. Jednym z nich jest ksiądz Józef Pallatyn. Przedstawiają znany mi przecież tragiczny los ludności cywilnej. Ranni pozostają od kilku dni bez opieki lekarskiej. Brak środków opatrunkowych uniemożliwia wykonanie najprostszych zabiegów. Od kilku dni ludność wieczorem gromadzi się na brzegu Wisły, licząc na przeprawę. Korowody rannych na noszach, o kulach i laskach zalegają bulwar i okoliczne ruiny. Wśród tych nieprzeliczonych rzesz granatniki niemieckie zbierają krwawe żniwo.

— Poddajcie się — pada prośba — przecież ta walka nie ma sensu. Niemcy zobowiązują się traktować was jak żołnierzy armii regularnej. Podziwiają wasze męstwo. Proponują rozejm dla przeniesienia rannych do niemieckich szpitali. W czasie rozejmu ludność i wojsko może bezpiecznie przechodzić na stronę niemiecką.

Wszystkie oczy zawisły na moich ustach: jaką decyzję one wyrzucą? Czyżby rzeczywiście tak miał wyglądać koniec epopei?

Czuję, jak narasta we mnie jakaś niepokohamowana złość i wybucham na chwilę potokiem gorzkich słów. Wyrzucam przybyłym, że wdawali się w pertraktacje z Niemcami, że śmiało do mnie przychodzić z propozycjami, które uwłaczają godności żołnierza. Znam położenie ludności cywilnej i gotów jestem wyrazić zgodę na jej wymarsz. Położenie rannych jest rozpaczliwe: i na ten temat gotów jestem rozmawiać z Niemcami, o ile mi udzielą dostatecznych gwarancji przyzwoitego ich traktowania, ale palnę w łeb pierwszemu z brzegu żołnierzowi Armii Krajowej, któryby ośmielił się wspomnieć o poddaniu się.

Parlamentariusze godzą się rozmawiać z Niemcami w duchu moich żądań. Na zakończenie dorzucam, że w czasie rozejmu nie tylko nie wolno strzelać, ale również nie wolno wykonywać żadnych ruchów o charakterze przesunięć stanowisk. W wypadku niedotrzymania tego ostatniego warunku nie odpowiadam za skutki, gdyż mogę wpłynąć bezpośrednio na swoich żołnierzy, lecz nie mam możliwości wpłynąć na dowództwo armii Berlinga, które rozporządza własną obserwacją, no i artylerią.

Parlamentariusze odeszli. Po upływie kwadransa byli z powrotem. Niemcy godzą się na nasze warunki; jeszcze raz podkreślają, że żołnierze nasi w wypadku kapitulacji będą traktowani z honorami, na jakie zasłużyli swą bohaterską postawą. Znają naszą sytuację żywnościową i wiedzą, że jeśli dziś jeszcze odpowiemy odmownie na ich wielkoduszne

propozycje, to jutro sami wywiesimy białą flagę i wymaszerujemy do niewoli.

Ostatnie słowa wywołały uśmiech na twarzach otaczających mnie chłopców i sypnęły się dowcipy: — Niedoczekanie wasze, Szwaby!

Fale eteru rozbrzmiały rozkazami. Rozejm do godziny 9-ej. Wstrzymać natychmiast ogień artylerii. Po chwili cichną działa, zamiera też trzask niemieckich kmów.

Chłopcy dostali dyspozycje: nie schodzić ze stanowisk, każdy ruch Niemców meldować, w wypadku zauważonej akcji — strzelać. Żadnych rozmów z Niemcami.

Na ulicę wypływa fala cywilów. Idą grupami, obdarci i brudni, na twarzach maluje się zwątpienie i rozpacz, niepewność losu. Niosą drobne tobołki. To cały ich dobytek ocalony nieraz z narażeniem życia z ruin zwalonych domów. Jedni idą ze spuszczonymi głowami, inni nerwowo oglądają się wokoło, jeszcze inni posuwają się niezdecydowanym krokiem człowieka, który w każdej chwili gotów jest cofnąć się. Kobiety prowadzą za ręce lub niosą dzieci. Słychać płacz. Teraz znów dźwigają kogoś na noszach, ktoś inny idzie ciężkim krokiem człowieka rannego wsparty na ramionach towarzyszy. Idzie korowód rannych. Spod bandaży i szmat spoglądają oczy nabrzmiałe, rzekłbyś, wyrzutem. Gdziekolwiek w tym korowodzie mar widać mundur.

Teraz kolej na naszych rannych. Ks. Paweł chodzi od jednego do drugiego i spokojnie perswaduje. O, jak trudno jest wytłumaczyć taką konieczność.

Wreszcie grupa cywilów podnosi nosze. Jak straszną musi być świadomość, że wczoraj jeszcze zdrów i cały — byłem potrzebnym, ba zdawało by się, nawet niezbędnym kółkiem w maszynie obrony, a dziś bezwolny ochłap ludzki — jestem tylko ciężarem dla kolegów. Takie myśli malują się na znękanych twarzach wynoszonych rannych.

Nosze — parodia tego, co normalnie nosi taką nazwę: prowizorycznie sklecone z koców i ram okiennych, czasem to drzwi wyjęte po prostu z futryny, czasem tylko koc czy worek. Korowód ten posuwa się wolno wąskimi schodami piwnicy, odprowadzany milczeniem kolegów, których oczy spuszczone unikają wzroku rannych. Nie pada żadne słowo. I choć żaden wyrzut nie wybiegł na usta rannych, choć żaden cywil nie wybuchł wymówką, to jednak czułem się jak winny tych nieszczęść, bo nie umiałem dać im ochrony, bo nie potrafię przyjść im z pomocą, a teraz zezwalam na to, aby szli do Niemców, na niepewne jutro.

Przeszedł ten pochód smutny i długo jeszcze ciszsza wisiąca w powietrzu: kroki ostatnich odchodzących cywilów odbijały się echem od ruin spalonych domów. Nagle w tę ciszę wpada meldunek: Niemcy w garażu, coś robią, są z nimi cywile.

Wyglądam na zewnątrz i widzę rzeczywiście kilku żandarmów, jakiegoś SS-mana w grupie cywilów, krzątających się gorączkowo w garażu. Rzucam krótkie ostrzeżenie i już nasz ckm sieje krótką serię w stronę zdradliwych Niemców, którzy uciekają w pośpiechu. Jakby na umówiony sygnał wybucha jazgot

km, dom wstrząsany wybuchami granatów drży w posadach i zasypuje nas tynkiem nadwątłych ścian. W powietrzu wisi gęsty zapach benzyny czy ropy: za chwilę garaż strzela w górę kaskadą płomieni, która wyjaśnia nam podstęp Niemców.

Padają słowa komendy i chłopcy biegną przez podwórze orane wybuchami granatów do garażu, by piaskiem gasić pożar rozszerzający się z błyskawiczną szybkością. Walka z pożarem jest od początku beznadziejna. Wysuszone belki stropu łamią się z trzaskiem. Już płonie i stróżówka. Ogień km-ów nieprzyjaciela sieje po podwórzu uniemożliwiając ratunek. Walka z płomieniami przenosi się na nasz budynek. Ledwo ugaszony pożar pierwszego piętra wybuchu na nowo, podsycany przez Niemców butelkami z benzyną. Km-y wroga biją długimi seriami po szczytowej ścianie budynku, która świeci już otworami.

Korytarz piwniczny, do niedawna bezpieczne schronienie dla rannych i wypoczywających żołnierzy, staje się ażurowy i nie stanowi już żadnej osłony.

Równocześnie obserwator sygnalizuje pojawienie się trzech czołgów niemieckich w rejonie „Społem“. Działają ich wałą po chwili w nasz budynek, krusząc górne piętra. Berlingowscy strzelcy przeciwpancerni pierzchają ze stanowisk. Wbiega zwiastun nowej klęski: „Berlingowcy“ cofnęli się z pozycji na Solcu. Nie wytrzymali natarcia czołgów idących Solcem od Zagórnej. Pociski dział czołgów biją w nasz budynek z kierunku, który dotąd uważaliśmy za bezpieczny.

Nowy okrzyk obserwatora: trzy czołgi w rejonie Ludnej biją w naszą stronę.

Piekło, które zapanowało, nie da się z niczym porównać. Dziewięć czołgów bijących w mały budynek — to stanowczo za dużo na nerwy „Berlingowców“, którzy opuszczają stanowiska. Uruchomnienie radiostacji w tych warunkach wymaga wielkiej umiejętności. — „Elektron tu Sokół, Elektron tu Sokół — Poniał, Poniał“ — rozbrzmiewa powtarzane bez końca, aż do zmęczenia, w końcu płynie szereg cyfr — to artylerzysta podaje rzędne.

Z radiostacji przenoszę wzrok na kuchnię, przy której dziewczęta w tumanach kurzu gotują zupełnie na ten skarb czekają wygłodniaли chłopcy. Jak trudno ochronić zawartość kotła przed opadającymi kawałkami tynku, jak trudno jest utrzymać ogień, kiedy podmuch co chwilę wyrzuca ogień i dym z paleniska. Ta cicha walka w huku rozrywających się pocisków, w dymie i ogniu nabiera cech symbolu.

Teraz szybko montuję przeciwnatarcia na stracone pozycje na Solcu. Jeszcze nie zagrały działa z tamtej strony, kiedy biegną chłopcy, aby wydrzeć stanowiska, bez których przeprawa byłaby niemożliwa. Walka jest krótka, zawzięta i Niemcy pierzchają w popłochu.

Podobna sytuacja powtarza się w ciągu dnia kilkakrotnie, gdyż Niemcy ostro nacierają. „Berlingowcy“, głodni i zdeprymowani, natarc tych nie wytrzymują, ale moi chłopcy odwoływani z innych stanowisk w budynku odbijają utracone przez innych pozycje: powtarza się to do czasu, gdy Niemcy

pałą wreszcie budynek, o który tyle razy toczyła się walka. „Berlingowcy“ okupują się na wybrzeżu, na którym tkwią już do wieczora.

Zapowiedziana przeprawa nie odbywa się. W ciągu dnia przychodzi z brzegu praskiego wiadomość, że przeprawa za dnia odbyć się nie może, a rozpocznie się o godzinie 20-ej. Teraz mamy wyłożyć płachty rozpoznawcze, gdyż nastąpi zrzut żywności. Natychmiast ściągamy ręczniki, prześcieradła i układamy kwadrat. Nie spowodował on zrzutu żywności, jedynym skutkiem był wściekły ogień granatników niemieckich, które uniemożliwił wszelki ruch po podwórzu. Za to ogień artylerii zza Wisły spowodował wycofanie się czołgów: można więc było przystąpić do rozdziału obiadu z takim trudem ugotowanego przez dziewczęta.

Obszedłem raz jeszcze stanowiska, budząc gdzieś niegdzie śpiących żołnierzy, którym nawet huk dział nie przerywał snu.

Ileż radości może dać łyżka, dosłownie łyżka, gorącej zupy! Już znów słychać ożywione głosy, znów sypią się dowcipy, stanowisko na piętrze wybucha kaskadą śpiewu, który biegnie aż po stanowiska niemieckie — to „Szturmówka“. Niemcy odpowiadają ogniem: ale śpiewak wkłada całą moc pogardy w śpiew, melodia „Szturmówki“ góruje.

Trudno zliczyć, ile razy jeszcze Niemcy tego dnia nacierali, ile razy dzielni chłopcy ich odrzucali; mogę śmiało powiedzieć, że nigdy jeszcze w walkach powstańczych, w których braliśmy udział,

Niemcy nie przejawili takiej nerwowej aktywności, nie atakowali z taką furją, jak w tym dniu właśnie.

Ale najcięższą walkę toczyliśmy z ogniem, który wdzierał się do naszego budynku i co chwilę wybuchał z nową siłą. Przed tym wrogiem musieliśmy się cofać — cofaliśmy się wolno, walcząc o każdy pokój, o każdą palącą się deskę. Pożaru nie można było gasić z braku wody: staraliśmy się go jednak umiejscowić na klatce schodowej. Obliczyłem, że wytrzymamy tak do wieczora mimo, że rozgrzane powietrze wypalało nam płuca, usta spierzchnięte pękały z braku wody.

Zbliżał się wieczór rozświetlony pożarami zgłiszcz, otaczających nas szeroką ławą. Już dawno straciliśmy rachubę czasu. Szał walki nieco przycichał.

Radiostacja przynosi nam nową wiadomość: przeprawa zostaje przesunięta na 21-szą. Wydłużają się twarze obrońców. „Berlingowcy“ wyrażają wątpliwość, czy w ogóle nastąpi. Krąży z ust do ust opowiadanie o podobnej sytuacji pod Puławami, gdzie oddziały posłane na drugi brzeg Rosjanie zostawili bez żywności i amunicji: poszły na stracenie. Żądam rozmowy z dowództwem 5-ej dywizji. Najpierw dowódca 5-ej dywizji potem generał Berling, zapewniają, że wszystko będzie dobrze. 100 pontonów już przygotowano, pada szereg zapewnień i obietnic, które powtarzane żołnierzom budzą nową falę nadziei.

O 20-ej robimy ostatnie przygotowania do wymarszu. Łatyszonow rozmawia powtórnie z Berlin-

giem, następnie wygłasza dłuższe przemówienie programowe na temat, że przecież oni nie mieli żadnych planów strategicznych, lądując na Czerniakowie: jedynym ich celem było przyjsie z pomocą proszącym o nią braciom-Polakom, że dla tego celu nie wahał się ponieść wielkich strat — sięgających 500 ludzi. Bardzo chcą, żebyśmy teraz to zrozumieli, aby przyszła nasza współpraca mogła wyglądać jak najlepiej. Podziwia naszych żołnierzy i przewiduje dla nich oficerskie stanowiska i t. d.

Nie rozwoziłem się długo w odpowiedzi. Ograniczyłem się do kilku zdawkowych zdań, natomiast zarządziłem zaraz odprawę swoich oficerów i instruktorów, na której ustaliłem sposób postępowania. Dalsze rozmowy przerywa nam nowe natarcie niemieckie, prowadzone ze zdwojoną siłą, wśród przeżliwego huku granatów i wściekłego ognia kmów.

Jest to ostatnie natarcie, jakie Niemcy podejmują tego wieczora. Odparte jak i poprzednie, wygasa w pojedynczych strzałach karabinowych i serjach peemów.

Noc zapada. Czerwone niebo jak krwawy namiot, zwisa nad głowami. Pióropusze rakiet rozdzielają jego czerwień, zalewając rumowiska białym światłem. Rumowiska nabierają w tym świetle życia, za chwilę długimi cieniami kładą się w stan przerwane go spoczynku.

Przychodzi godzina. Wymarsz. Najpierw „Słoń“ z sekcją zajmuje stanowisko na wybrzeżu, aby sygnałami wskazać lądowanie. Równocześnie ubezpieczenia zajmują swoje pozycje. Potem długim koro-

wodem wychodzą dziewczęta, reszta rannych z Ojcem Pawłem, „Berlingowcy“ i wreszcie my. Niektórzy oglądają się na opuszczony budynek, który za chwilę padnie pastwą płomieni, a z którym związało ich tyle przeżyć.

Łączniczka Marta zatrzymuje się, spoglądając w kierunku piętra, na którym spoczywa ciało Jerzyka. Ostatnią godzinę przed wymarszem strawiliśmy na walce o wydostanie tych zwłok drogich nam wszystkim, aby Jurkowi sprawić żołnierski pogrzeb. Nowi ranni spowodowali moją decyzję, zabraniającą dalszych prób. Przygotowany grób świeci pustką, a ciało Jerzyka, żegnane teraz ostatnim spojrzeniem Marty, pozostaje w płonącym domu — po ostatnim ubezpieczeniu.

Wymarsz odbywa się w zupełnej ciszy. Idziemy ruinami, potykając się o zwłoki poległych. Rakiety w dalszym ciągu strzelają w górę. Z rzadka słychać trzask karabinów maszynowych, ryglujących Solec. Małymi grupkami, w przerwach między jedną a drugą rakieta przeskakujemy ulicę, by znaleźć się na stromym stoku wybrzeża nad Wisłą, rozświetloną teraz pożarem szop palących się na Solcu i przeciwną smugą reflektora, ślizgającego się po wodzie jasnym snopem. Wchodzimy na statek zatopiony przy brzegu, podziurawiony, wypełniony rozkładającymi się ciałami.

W blasku rakiet widzimy odrywające się od przeciwległego brzegu łódki: równocześnie tryskają smugi amunicji świetlnej, powietrze napenia się trzaskiem-ckmów. Artyleria sowiecka zaczyna hu-

raganowy ogień. Za chwilę niemieckie moździerze biją w rzekę. Fontanny wody, rakiety, smugi poci-sków: z nocy robi się dzień.

Wyraźnie rysują się zwaliska mostu Poniatow-skiego. Na rzece widać dokładnie walkę saperów z wartkim nurtem. Nad łupinami łódek powstaje kłę-bowisko smug świetlnych. Z trzech łodzi saperskich, które odbiły od brzegu praskiego, przybywa na brzeg czerniakowski tylko jedna, przywożąc dwu zabitych i jednego rannego sapera.

Łatyszonow gorączkowo zarządza, aby ta pierw-sza łódź została do jego i mojej dyspozycji, co zgo-dne jest zresztą z wolą jego przełożonych. Zwraca się do mnie, abym siadał z nim, gdyż wobec położe-nia, jakie tu jest, my przede wszystkim znaleźć się musimy na drugim brzegu.

Odmawiam stanowczo, oświadczając, że u nas panuje zwyczaj, iż dowódca wycofuje się ostatni, i zarządzam opróżnienie statku z tłoczących się nań „Berlingowców“. Za chwilę statek rozgorzał walką bestii ludzkich, które tłocząc się do jednej łódki, spychają rannych i kobiety, walczą pięściami, zę-bami.

Jest godzina 23-a. Pierwsza łódka zostaje zato-piona przez stłoczonych „Berligowców“; na dwie na-stępne, którym udaje się przybić, wdziera się kilku najsilniejszych. Tafla wody jest czysta. Nie ma żad-nej zasłony i niemieckie km zatapiają jedną łódkę po drugiej.

Na brzegu tłoczy się wystraszona, niekarna ma-sa na pół obłąkanych ludzi. Niebaczni na ogień

granatników stoją wpatrzeni w przeciwległy brzeg, skąd wyczekiwana jest pomoc — pomoc, która nie nadchodzi. Niektórzy rzucają się w pław. Inni montują prowizoryczne tratwy. Rzeka raz po raz rozbrzmiewa skowytami rannych.

Jasnym staje się, że realnej pomocy z tamtego brzegu nie otrzymamy. Potwierdza to meldunek oficera, przybywającego z brzegu praskiego, który oświadcza, iż dowództwo rozmyśliło się i będzie dostarczać po 15 łodzi saperskich co wieczór, zamiast obiecanych 100 pontonów jednorazowo. Cynizm tego oświadczenia, bezmyślność w organizacji przeprawy są jasne: decyduję natychmiast przystąpić do przygotowania przebiecia się do Śródmieścia przez ogród Frascati. Tymczasem „Berlingowcy” gromadzą się nad rzeką, opuszczając ubezpieczenia i wypełniają powietrze wrzawą roznamiętnionych głosów.

Polecam chłopcom objąć opuszczone stanowiska. Nasze „Maximy” grzeją na tyralierę nacierających Niemców. Zarządzam zebranie ludzi do przebiecia się. Poszczególne grupki przeskakują przez ulicę oświetloną blaskiem płonących szop. Ochotnikom, do których należy Witold, polecam przeprowadzić się na drugi brzeg, by tam spowodować wysłanie jeszcze przed świtem kilku pontonów dla przewiezienia rannych i pozostałych na brzegu „Berlingowców”. Żegnamy się uściskiem dłoni, widzę ich, jak oddalają się szybko od brzegu.

Teraz krótka rozmowa z Łatyszonowem. Przebijamy się do Śródmieścia. Jeśli chce, może z gru-

pą wypróbowanych ludzi dołączyć do mego oddziału. Na decyzję zostawiam mu trzy minuty. Przed świtem musimy być w mieście. Major zgadza się natychmiast i melduje się po chwili z dwudziestu oficerami i podoficerami.

Stoimy teraz w długiej bramie, zasłanej poległymi. Ustawiam wszystkich w szyku marszowym. Mówię kilka słów o trasie, którą mamy iść. W wypadku odłączenia się pojedynczych ludzi czy rozbicia oddziału należy przedzierać się w kierunku gmachu YMCA lub Instytutu Głuchoniemych. Wyznaczam dowódców poszczególnych oddziałów: „Słoń“ dowodzi grupą uderzeniową, „Pol“ ubezpieczeniem bocznym, „Jur“ strażą tylną, Ojciec Paweł opiekuje się dziewczętami. Przedstawiamy sobą oddział o wielkiej sile ognia. Mamy dużą ilość peemów: granatów różnego rodzaju, samopowtarzalne karabiny.

Ojciec Paweł prosi o chwilę skupienia i wzburzenie żalu za grzechy. Stoimy w ciemnej bramie, nogi grzęzną w trupach poległych. Wzrokiem biegniemy ku jasnemu otworowi, przez który widać czerwone niebo i błyskami rakiet rozświetlane ruiny Czerniakowa. Artyleria sowiecka bije ukośną linią przecinając drogę naszego odwrotu z Czerniakowa.

W tym momencie myśl moja wraca do podobnej sytuacji na Starówce, gdy w ruinach ghetta Piotr prowadził natarcie. Piotr najlepszy przyjaciel i wychowawca, harcmistrz Piotr, który zjawiał się wszędzie, gdzie było wahanie i umiał swym słowem tchnąć w ludzi nową wiarę. Poczułem nagle jego

obecność, spojrzałem ku Wiśle, która błyskała w świetle reflektorów i rakiet, ku Solcowi, na którym płonęły, jak niegdyś, szopy.

Ojciec Paweł udziela absolucji, odmawia modlitwę za naszą garstkę, porywającą się na trudne zadanie. Znak krzyża otwiera nam drogę do swoich — do miasta.

Ruszamy. Idę pierwszy z Ojcem Pawłem i „Słoniem“. Przeciskamy się przez wąskie szczeliny w ruinach. Za nami wyciągniętym węzem około 70 postaci. Wąż błyska od czasu do czasu stałą broni, czasem zadźwięczy metal. Wychodzimy na szerszą przestrzeń między ulicami Zagórną i Wilanowską. Idziemy luźnym rojem, zatrzymując się, gdy rakietą rozświetli powietrze. Z półmroku przed nami wynurza się linia jakiegoś rowu. Przyspieszam kroku i nagle krótkim szczeknięciem wybiega ku mnie: — Patrolle?

Rzucam ze „Słoniem“ granaty, skaczemy do okopu. Jęki rannych, huk granatów, „Słoń“ osuwa się na kolana. Wyskakuję z okopu i biegnę z kilkoma towarzyszami krzycząc: Naprzód!

Z pod nóg tryskają snopy błysków świetlnej amunicji, którymi gonią nas Niemcy. W świetle rakiety widzę, że „Berlingowcy“ cofają się, pociągając za sobą innych. Ale oto już i ruiny. Stajemy na chwilę. Jest nas czworo.

Chwila wahania i wracam do ruin, w których spodziewam się spotkać swój oddział. Mijam naszą ostatnią twierdzę. Płonie wysokim słupem ognia, wybucha raz po raz pozostawiona przez nas, zbę-

dna amunicja. Jestem już w dobrze znanych ruinach. Znajduję tu tylko drużynę „Berlingowców“ z sierżantem; reszta przywarowała gdzieś w ruinach, zdecydowana czekać do rana. Słysząc rozmowy Niemców, którzy już oddzielają nas od brzegu rzeki.

Zawracam ku Czerniakowskiej, lawirując między rzędami pustych beczek, między ruinami i zgłiszczami. Mijamy „Społem“, idziemy ulicą, wolnym krokiem, z ręką na spustach peemów. Dochodzimy tak do rogu Czerniakowskiej. Przeciskamy się wolno przez barykadę: nagle z nad głowy, z okna domu pada znów: — Patrolle? Odpowiadamy. — Patrolle.

Stoję na Czerniakowskiej z Haliczem i Blondem dyskretnie trzymając na muszce peemów okno, z którego padło niedyskretnie pytanie. Wolno dołączając do nas inni, idziemy dalej środkiem ulicy. Koło następnej barykady mijamy grupę żołnierzy niemieckich, którzy nie interesują się nami. Podobnie koło budynku ZUS'u. Osiągamy Rozbrat.

Dziurą w płocie wchodzimy do ogrodu, by znaleźć się naprzeciw bunkrów niemieckich, cichych i jakby opuszczonych. Zbliżam się do pierwszego, trzymając w ręku granat przeciwpancerny. Bunkier pusty. Następny okazuje się zwykłą maską. Po kilkunastu krokach znajdujemy wielki spadochron i zasobnik, zrzucony przez Amerykanów. Nie zatrzymujemy się przy nim, lecz szybko zmierzamy w stronę Książęcej.

Wychodzę na ulicę, naprzeciw Smolnej, aby stwierdzić zupełną pustkę. Jedyne brzeg Wisły roz-

brzmiewa ciągle seriami kaemów i błyska światłem rakiet. Wracam do chłopców, idziemy dalej wzdłuż starego rowu łącznikowego, który łączył Czerniaków z miastem.

Nagle słysząc kroki. Przywarowaliśmy w krzakach. Patrol niemiecki mija nas miarowym krokiem i niknie w tunelu w kierunku Książęcej. Teraz przeskakujemy rów i posuwamy się w stronę Ambasady Chińskiej.

Za gęstwą krzaków niespodziewanie niemiecki rów strzelecki, najeżony karabinami. Na pytanie odpowiadamy granatami. Skaczę przez rów, za mną moja łączniczka Wika, Halicz, Blond, sierżant z armii Berlinga. Reszta jego żołnierzy pada i otwiera chaotyczny ogień.

Przed nami skarpa stroma, przecięta żywopłotem. Nurkuję w żywopłot i przekonuję się, że jest to zamaskowany drut kolczasty. Zawisam na drutach. Czuję krew zalewającą usta, czuję ostrza wbijające się w ciało. Ścigają mnie świsty i huk pocisków. Cisnę się za siebie, w przebyty właśnie rów, granat, a równocześnie uderzenie pocisku zrzuca mi hełm z głowy.

Udaje mi się wyplątać, biegnę w prawo wzdłuż płotu, ręką wskazując towarzyszom drzewo zrąbane przez pocisk artyleryjski, które umożliwia nam przeskoczenie przez drut. Po pnium i gałęziach dostajemy się na drugą stronę zasięku. Teraz zygzakami pod górę, odprowadzani pojedynczymi strzałami. Wchodzimy do budynku Ambasady Chińskiej.

Opanowuję krok i wolno, jakby od niechcienia, przemierzam pustą salę; tylko bicie serca, które łomocze w piersi, świadczy o przebytej drodze. W wielkim portefenetrze widać sylwetkę wartownika. Pada pytanie po rusku. Odpowiadam machnięciem ręką i wyskakujemy na ulicę Frascatti.

Biegniemy do domu prof. Pniewskiego. Wchodzę wolno po schodach, za mną koledzy. Jest zupełnie ciemno. Mam w prawym ręku „Stena“, w lewym latarkę; dwa ostatnie granaty tkwią za pasem, otwarty kobur pozwala w każdej chwili sięgnąć po pistolet.

Na schodach wartownik. Polak czy Niemiec? Błysk latarki. Odpowiedź: Niemiec. Odsuwam go zdecydowanym ruchem ręki, mijam go, jęcząc głośno i trzymając się za zakrwawioną twarz. Za mną towarzysze.

Schodzimy do piwnicy, odprowadzani przez zaskoczzonego i zdziwionego wartownika. Jesteśmy w pracowni profesora — nie spodziewałem się, że będę odwiedzał pracownię mego profesora w takich okolicznościach. Z pracowni idziemy na taras, chcemy zeskoczyć do parowu, który biegnie do gmachu YMCA. Ale wysokość jest zbyt wielka, musimy wracać na górę.

Jest już dwóch wartowników. Przyglądają się podejrzliwie zadają jakieś pytania, na które odpowiadam jękami, trzymając się ręką za twarz. Odsuwamy barykadę z drzwi i wychodzimy na taras na parterze. I tu to samo: za duża wysokość.

Jeszcze raz wracamy do domu, w którym roi się od Niemców. Nie ma na co czekać: pierwszym oknem, bez namysłu, skaczę z pierwszego piętra na ulicę. Hop, hop, hop — skaczą za mną koledzy, potem biegiem po skarpie do parowu i pod górę do budynku YMCA. Teraz dopiero ściga nas ogień karabinów i jakiegoś kaemu od strony Ambasady Francuskiej. Zziębni dopadamy muru YMCA. Serca biją. Płuca chwytają gorączkowo powietrze.

Dom milczy. Polacy czy Niemcy? Każę towarzyszom odpocząć, sam zwolna obchodzę budynek. Milczenie. Niemcy czy Polacy? Nagle gdzieś z narożnika bluzga karabin maszynowy, odpowiada mu natychmiast inny z Ambasady Chińskiej. Soczyste przekleństwo i pytanie: — Stój, kto idzie? — napęniają mi duszę muzyką.

A więc swoi.

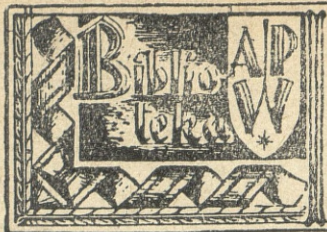
SPIS RZECZY:

PRZEDMOWA	3
ZDOBYCIE GĘSIÓWKI	13
ZE „STARÓWKI“ DO ŚRÓDMIEŚCIA	39
OSTATNI DZIEŃ CZERNIAKOWA	57

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA	1
ZDROBYCIE GIESIOWKI	18
ZE STANOWKI DO SRODKOWA	30
OSTATNI DZIEŃ CZERNIAKOWA	50





X200/
17.

IMPRIMERIE

"les presses
rapides,,

29, Rue Letort PARIS 18°

R. C. Seine 257.789 B.